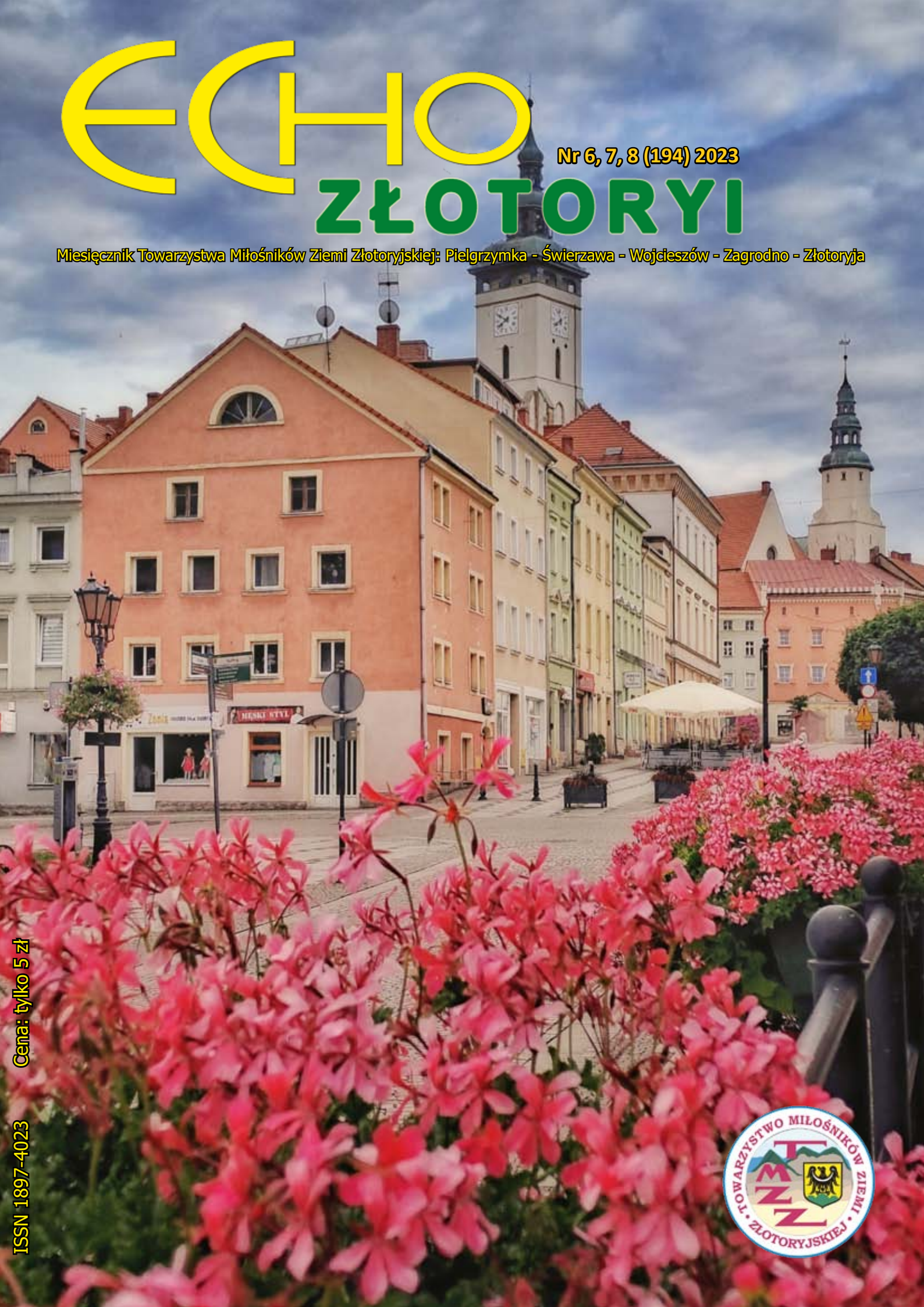


ECHO ZŁOTORYI

Nr 6, 7, 8 (194) 2023

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pięgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja



Cena: tylko 5 zł

ISSN 1897-4023



Oczyrna turysty

„Jeśli na wakacje zostajesz w kraju, wpisujesz się w światowy trend” – czytamy w ekskluzywnym miesięczniku dla kobiet. No i bingo! – myślę sobie z radością – Jestem en vogue, bo cały urlop spędzam, z różnych, a szczególnie materialnych i organizacyjnych powodów, na miejscu. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nie czuję z tego powodu dyskomfortu, bo dalsze podróże zwykle mnie stresują, a im jestem starsza, tym większą mam potrzebę unikania dyskomfortu psychicznego i nie chce mi się opuszczać strefy komfortu, czyli własnego zaciszka. ☺

Na miejscu też jest fajnie, szczególnie kiedy w mieście robi się luźniej, bo inni wyjeżdżają na urlopy i nawet można znaleźć miejsce parkingowe w okolicach Rynku.

Jednak, żeby naprawdę wypocząć, wychodzę kilkaset metrów poza obrzeża miasteczka, co w moim przypadku nie jest trudne, bo chodzić lubię, a mieszkam na przedmieściu. Kocham ten moment, kiedy wchodzę w strefę pól i łąk, gdzie nie muszę wciągać brzucha – dosłownie i w przenośni. Jako że z natury jestem introwertykiem, nie muszę mieć wokół siebie tłumu, by wypoczywać. Dlatego wybieram takie trasy, które gwarantują mi względną samotność. I tak zwykle przez kilka kilometrów wędrowania trudno mi spotkać żywą duszę, nie licząc spłoszonych saren i zajęcy lub ważek przypominających helikoptery. Idę i ćwiczę pamięć, tworząc nakładki z nazw na mijane rośliny. To taki swoisty memo test, który sprawdza, czy jeszcze nie dopadła mnie demencja. I tak kiedy wychodzę z domu nazywam po imieniu trzmieliny, hortensje, nasturcje, ale za kilkaset metrów dostrzegam chabry, wrotycze, cykorie, nawłocie... Dumna jestem, jeśli żadnej z tych nazw nie zgubię w zakamarkach dziurawej pamięci ☺

Poza szumem wiatru, świergoleniem ptaków i stukotem własnych kijków (do czego szybko się przyzwyczajam, jak do rytmu serca) nic nie rozprasza mojej uwagi i mogę się skupić na Tu i Teraz. Żadnego wybiegania w przyszłość czy rozpamiętywania przeszłości, idę i po prostu chłonę czas, w którym jestem. To ten komfort urlopu, kiedy nie trzeba myśleć, co jutro, bo to jutro jest podobne do dziś, a dziś do wczoraj. Urlop to dni bez nazw i dat, to uwolnienie się od kalendarza, luksus, na jaki nie możemy pozwolić sobie w innej sytuacji.

Urlop w gwarze miasta też jest do przyjęcia, szczególnie, kiedy zmieni się perspektywę i popatrzy na przestrzeń nie oczyma mieszkańca, tylko turysty. Czasami warto taki eksperyment przeprowadzić i popatrzeć na to, co oswojone, ale dostrzec urok w zwyczajności, tak jak skłonni jesteśmy zachwycać się innymi miastami, gdy podróżujemy. Spróbujmy odbyć tę podróż po własnych ulicach. Odkryć do tej pory nieodkryte, a w tym bardzo sprzyjają Żłotoryjskie Spacerki (szczególnie polecam), które pokazują interesujące oblicze domów, ludzi, historii...

Naprawdę niekoniecznie trzeba wyprawiać się daleko, żeby cieszyć się chwilą urlopu. Ważne, by umieć tę radość w sobie znaleźć, bo jak jej nie ma, to żadna zmiana miejsca nie pomoże.

 Iwona Pawłowska



Pewnie niewielu żłotoryjan wie, że pod adresem ul. Wojska Polskiego 50 mieści się nie tylko Zespół Szkół Zawodowych, ale również Fundacja Ekonomii Społecznej PROM, której prezesuje od kilku lat Kamil Krupiński. Fundacja ma pod swoją opieką ponad 50 osób z niepełnosprawnością intelektualną z całego powiatu żłotoryjskiego i okolicznych miast.

Proszę wyjaśnić w kilku prostych słowach, czym jest PROM?

Fundacja powstała w 2017 roku. Wcześniej istniała jako Fundacja Rozwoju Powiatu Żłotoryjskiego, ale ponieważ fundacje samorządowe mają ograniczone możliwości pozyskiwania środków finansowych - optymalne było przekształcenie. Dotychczasowi pracownicy fundacji postanowili, że rozszerzą jej działalność i poza istniejącymi już Warsztatami Terapii Zajęciowej poprowadzą Środowiskowy Dom Samopomocy.

Siedziba, w której jesteście przy ul. Wojska Polskiego funkcjonuje chyba od niedawna?

Wcześniej byliśmy ulokowani w ogólniaku, to znaczy w drugim skrzydle liceum. Warunki były tam dość trudne. Kiedy przejeźliśmy ten budynek, było jeszcze gorzej. W 2018 roku była to kompletna ruina. We wrześniu rok później już mogliśmy się tu przeprowadzić, czyli urządzamy tu już prawie 4 lata.

Wy musieliście wziąć na siebie remont?

Częściowo tak, mieliśmy trochę swoich środków, ale było to w ramach projektu z powiatem i Zakładem Aktywności Zawodowej. To był duży projekt, na kilkanaście milionów. Wyremontowaliśmy budynek, ale tak naprawdę cały czas coś trzeba tu robić. Na przykład, żeby zmniejszyć ogromne koszty ogrzewania zakładamy solary. Mieliśmy pomysł, by po upadku ZDZ dwa lata temu zagospodarować tę część, która nale-

żała do nich, ale na razie nas na to nie stać i mieścimy się w tym budynku. Jak współpraca z powiatem będzie się dobrze układać, bo de facto od powiatu dzierżawimy pomieszczenia, to może uda nam się przestrzennie rozwinąć.

Jakie zadania realizujecie na co dzień?

Zajmujemy się przede wszystkim rehabilitacją zawodową i społeczną osób niepełnosprawnych.

Na czym to polega?

Osoby, które rokują rehabilitację zawodową, uczestniczą w warsztatach terapii, natomiast te osoby, które nie mają szans podjąć pracy ze względu na swoje deficyty, kierowane są do ŚDS. Z jednymi i drugimi pracują ci sami ludzie, co jest bardzo ważne z adaptacyjnego względu. Ci, którzy przechodzą z warsztatów do ŚDS nie czują się gorsi, odrzuceni na margines, „zwolnieni”, bo ciągle są w tym samym budynku, wśród tych samych twarzy.

Ale wykonują już wtedy inne zadania niż na warsztatach?

Tak. Oni mają właśnie rehabilitację społeczną, żeby umieli się zachować w określonych sytuacjach, wokół siebie zrobić, mają zajęcia z arteterapii. Natomiast osoby, które uczestniczą w warsztatach uczą się takich czynności, które mogą im zapewnić zatrudnienie w Zakładzie Aktywności Zawodowej. Mamy zbliżone profile z ZAZem i jak się nauczą zawodu u nas, mogą bez problemu zacząć pracować i zarabiać. W konsekwencji różnie to bywa. Nie każdy jest w stanie przyswoić pewne czynności. Ale w ubiegłym roku trzy osoby przeszły z warsztatów do ZAZu, co poczytuję za sukces.

Z jakim typem niepełnosprawności są wasi podopieczni?



Przede wszystkim jest to niepełnosprawność intelektualna w stopniu głębokim, znacznym oraz osoby wykazujące inne przewlekłe zaburzenia psychiczne. W przypadku warsztatów przyjmujemy tylko osoby dorosłe, a do ŚDS możemy przyjmować dzieci.

I macie takie młode osoby?

Tak, mamy obecnie troje uczniów, którzy rano są na zajęciach w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym i później są u nas, skąd odwozimy ich do domu.

Ile trwają zajęcia?

7-8 godzin trwa terapia, niezależnie od tego, czy mowa o warsztatach, czy o ŚDS. Do tego czasu liczymy też dojazd do podopiecznych i odwożenie ich do domu, bo nie wyrobilibyśmy się czasowo.

Wasi uczestnicy pochodzą z całego powiatu.

Tak, ale mamy tak dobrą opinię, że nawet dwie matki wożą do nas swoje dzieci z Jeleniej Góry. Mamy też podopiecznych z Chojnowa.

Dużo macie podopiecznych?

25 osób w WTZ i 28 w ŚDS. Tymi uczestnikami zajmują się 22 osoby personelu. W WTZ wymogiem jest jeden terapeuta na 5 uczestników, a w ŚDS jedna osoba na 3 podopiecznych. Mamy też na etacie psychologa. Oczywiście zatrudniamy też kierowców (również tak jak pozostali pracownicy muszą mieć skończone studium terapii zajęciowej) i obslu-



Sala sensoryczna

gę. Taka ciekawostka – każdy z naszych dwóch busów, jeżdżąc po podopiecznych i ich odwożąc robi codziennie 200 kilometrów.


Co oferujecie swoim podopiecznym na Warsztatach Terapii Zajęciowej? Do pracy w jakich zawodach możecie ich przygotować?

Mamy pięć pracowni: stolarską, rękodzieła artystycznego, multimedialno-poligraficzną, gospodarstwa domowego i pszczelarską. Mamy jeszcze pracownię ceramiczną, ale na razie stoi pusta, bo brakuje nam ludzi.

Zaintrygowana mnie ta pszczelarska?

Tak, to taki ewenement.

Macie własną pasiekę?

Tak, mamy pszczoły, miasto użyczyło 



Zajęcia w stolarni



Terapia przez sztukę



Terapia przez sztukę

nam kawałek łąki przy ul. Jerzmanickiej i tam stoi nasza pasieka. Mamy pięć uli, teraz jeszcze chcemy zrobić tablice, bo docelowo to miejsce będzie miało charakter edukacyjny. Myślmy o tym, by zapraszać tu dzieci ze szkół i uczyć ich o pożyteczności pszczół. Ale już teraz sami pozyskujemy i miód i wosk (do produkcji świec). To fajne zajęcia. Przy okazji pokazujemy, że pszczoły nie są straszne, a nasi podopieczni, konkretnie 5 osób z tej pracowni przez cały rok ma zajęcia. Tworzą ramki, odymiają... Mamy już nawet w sprzedaży słoiczki z miodem lipowym, a na etykiecie są zdjęcia naszych pięciu pszczelarzy. 😊

Taki materialny efekt pracy bardzo motywuje.

Chcemy, żeby to co robią nasi uczestnicy było praktyczne. W WTZ produkujemy też magnesiki, które wypalamy w glinie, koszulki i torby z nadrukami, które wykonuje pracownia multimedialno-poligraficzna, maskotki: owce, renifery, zawieszki, breloczki – one wychodzą z pracowni artystycznej. Malujemy obrazki, kolorujemy ceramikę...

Jaki jest klucz przypisywania uczestników do konkretnych pracowni?

Różnie to wygląda, czasami proponujemy jakąś pracownię, ale uczestnik po jakimś czasie może sam zdecydować, że lepiej czuje się wykonując inne czynności. Ostatnio jedna z naszych par, mimo że sama chciała pracować przy poligrafii, ostatecznie uznała, że lepiej się czuje w pracowni gospodarstwa domowego i tam przeszła.

Co konkretnie robią podopieczni w pracowni gospodarstwa domowego?

Uczą się gotować, układają jadłospis, a ostatnio otworzyliśmy w fundacji małe

bistro, gdzie wydajemy posiłki. Jeszcze nie udało nam się z tym wyjść na zewnątrz, ale to tylko kwestia czasu, bo zakupiliśmy nawet używanego foodtrucka, którego chcemy przystosować do naszych potrzeb i ruszyć nim w miasto. Nasi uczestnicy już w tym momencie gotują obiady dla podopiecznych ŚDS, ale też dla dwunastu seniorów z miasta, którym te obiady zwozimy. To efekt projektu Caritas Diecezji Przemyskiej „Terapeutyczne gotowanie”. Innym efektem jest wdrożenie naszych uczestników do systematyczności i odpowiedzialności za wykonane zadanie.

Zajęcia w pracowni obejmują również opiekę nad przywarsztatowym warszwywniakiem, z którego pozyskujemy produkty do przyrządzanych posiłków. Uczestnicy z innych pracowni również w tym pomagają, bo stolarze wykonują inspeky, skrzynki, płotki, a pszczelarze podlewają rośliny.

Rozumiem, że uczestnicy z tych pięciu pracowni mają wypełniony czas po brzegi, a co robią podopieczni z ŚDS?

Tam z kolei nasi podopieczni, którzy są z niedowładami, porażeniami, a więc gorzej funkcjonują, uczą się dbania o siebie, ćwiczą też techniki manualne, kolorują, mają zajęcia z arteterapii, szyją. Czasem pomagają uczestnikom WTZ. Też się czują potrzebni. Tu też mamy pracownię: kulinarną, krawiecką, plastyczną. I od niedawna mamy też salę do terapii sensorycznej. Podopieczni wyciszają się muzyką relaksacyjną, bielą ścian, miękkością poduch, światłem, korzystają z łóżka wodnego, huśtawek. Niedawno odwiedziła nas grupka uczniów ze szkoły podstawowej, wśród których była dwójka z ADHD i nauczycielka była zdziwiona, jak te dzieci były wyciszone podczas pobytu w naszej pracowni sensorycznej. Ta pracownia to moje oczko w głowie, tu musi być czysto, sterylne i bezpiecznie.

W każdej firmie powinno tak być. Trudno znaleźć u was miejsce?

W WTZ mamy komplet. W ŚDS mamy jeszcze parę miejsc.

Rodzina ani sam podopieczny nie płacą za pobyt?



Wyroby uczestników WTZ

Nie, ale też jeśli chodzi o WTZ i wykonywaną pracę uczestnicy nie otrzymują wynagrodzenia. W ramach treningu ekonomicznego otrzymują niewielką ilość pieniędzy, by mogli uczyć się nimi rozporządzać. Kwota zależy od frekwencji na zajęciach, uczestnicy uczą się odpowiedzialności, systematyczności, na przykład przez podpisywanie listy obecności, potem kwitują odbiór gotówki. To ma być taka namiastka funkcjonowania w zakładzie pracy. Te kwoty, jak mówiłem, są niewielkie, około 100 złotych, ale już mają jakieś pieniądze, by sobie coś kupić, gdy na przykład jadą na wycieczki, które też im organizujemy.

Wiem, że podczas imprez lokalnych sprzedają

Wszystko to fajnie brzmi. Nie macie żadnych problemów?

Mamy. To banał, co powiem, ale to problemy finansowe. Dlatego ratujemy się projektami.

Jak funkcjonowaliście podczas pandemii?

Gdy był całkowity lockdown, to oczywiście nie działaliśmy na miejscu, uczestnicy byli w domach, ale codziennie nasi pracownicy odwiedzali ich z materiałami do zajęć. To był bardzo ciężki okres dla naszych uczestników, bo te osoby muszą mieć wsparcie psychologiczne, pedagogiczne. Mimo naszych wysiłków, po tej półrocznej przerwie widziałem, jaką szkodę wyrządziło im to zamknięcie. Później, kiedy lockdown lekko odpuścił i przepisy pozwalały na kontakty, robiliśmy zajęcia co drugi tydzień. Starali-

śmy się jak najszybciej w pełni uruchomić placówkę. Bo w końcu człowiek jest najważniejszy.

Z tego, co słyszę, rozumiem, że bardzo ważne dla was jako instruktorów oraz dla waszych uczestników są integracja, ale również poczucie sprawczości.

Oczywiście. Pragniemy, żeby nasi uczestnicy czuli się potrzebni. Niedługo chcemy wyjść z naszą ofertą do uczniów i nauczycieli pobliskiej szkoły i przyrządzić im ciepłe posiłki, żeby mogli na przerwach zjeść coś innego niż słodkie czy słone przekąski. Już nawet zrobiliśmy osobne schody, dzięki którym będą mogli podejść od zewnątrz do naszego bistro. No i oczywiście niedługo ruszymy naszym foodtruckiem w miasto.

Trzymam kciuki za realizację tych pomysłów i życzę tego, bez czego niewiele da się zrobić – pieniędzy na kontynuację waszych działań. 😊

Z Kamilem Krupińskim, prezesem Fundacji PROM rozmawiała Iwona Pawłowska



Weteran dwóch wojen

20 czerwca na cmentarzu parafialnym w Pielgrzymce miała miejsce niecodzienna uroczystość, bardzo ważna dla lokalnej społeczności. Z inicjatywy pana **Waldemara Chabiora** przeprowadzono uroczysty ceremoniał oznaczenia grobu Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Polski **MIKOŁAJA SZEWCZYKA**. Mikołaj Szewczyk był uczestnikiem I i II Wojny Światowej. W styczniu 2020 r. ukazał się na łamach „Echa” życiorys bohatera uroczystości, spisany przez jego syna Stanisława Szewczyka. Został on odczytany przez niego podczas mszy, która poprzedziła ceremoniał przy grobie i uzupełniony przez wnuka Mikołaja - Piotra Szewczyka*. Na uroczystość przybyła licznie rodzina Mikołaja, de-

legacja szkoły podstawowej ze sztandarem, asysta wojskowa z 23. Śląskiego Pułku Artylerii w Bolesławcu, przedstawiciele władz i mieszkańcy. Był obecny także przedstawiciel Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu – Przemysław Mandela. Grób został poświęcony przez proboszcza parafii pw. Św. Jana Nepomucena. Bardzo ważne jest to, że udało się ocalić od zapomnienia kolejny



Wioleta Michalczyk



ma pamiątkowy certyfikat. Żołnierze - instruktorzy mieli nauczyć podstawowych zasad codziennego bezpieczeństwa, sposobów wykrywania oraz unikania zagrożeń. Mają pokazać też techniki walki wręcz w obliczu przemocy fizycznej.

Kilka lat temu moja córka, jeszcze jako studentka, uczestniczyła w takim kursie. Była zachwycona i opowiadała o nim bez przerwy. Pamiętam, jak jej wtedy zazdrościłam. A teraz ja będę mogła wziąć udział w takim szkoleniu, więc i na lipiec czekałam z niecierpliwością. Nareszcie nastąpił ten dzień i 22 lipca 2023 roku w piękną, słoneczną i gorącą pogodę stawiłam się na tartanie boiska przy ul. Lubelskiej.

samoobrony i walki w bliskim kontakcie, trener judo i walki w bliskim kontakcie oraz starszy kapral Filip Sielicki – instruktor walki w bliskim kontakcie, specjalizuje się też w boksie, kickboxingu i tajskim boksie. Wszyscy jesteśmy żołnierzami Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu.

Po takiej prezentacji nabrałyśmy pewności, że jesteśmy w dobrych rękach. Panowie – o nienaganych sportowych sylwetkach i w mundurach moro – od razu zabrali się do pracy. Najpierw robimy rozgrzewkę. Jest taka jak przed treningiem fitness, łatwizna, robię to trzy razy w tygodniu. Teraz jesteśmy gotowe do zajęć.

Sierżant Mariusz pokazuje nam obronę i zbijanie ciosów zadanych przez napastnika.

– Idzie cios prostą ręką, a ja zbijam ją do środka. Lewa, prawa. Jeżeli będzie rotacja, to nie dostaniecie ciosu w twarz. Bach, bach! Bach, bach! Bach, bach! Przyjmuję postawę i zadaję cios. Jasne? No to dobrać się w pary i ćwiczymy!

Nasze ruchy są nieporadne i niepewne. To dla mnie zupełna nowość. Nigdy z nikim nie walczyłam, już samo stanięcie twarzą w twarz tak blisko jest jakby zapowiedzią walki. Trudno zapamiętać sekwencję ruchów. Na szczęście instruktorzy są czujni, chodzą między nami, poprawiają nas, wyjaśniają.

– Nie, nie tak. Ręka przy ciosie jest wyprostowana. Lewa, prawa! Lewa, prawa! Jeżeli będzie rotacja, to nie dostaniesz ciosu w twarz. Bach, bach! Bach, bach! Bach, bach! Przyjmuję postawę i zadaję cios. Teraz ty lecis. O, udało się! A teraz ja atakuję, a ty zbijasz. Teraz ja, ty bijesz! Teraz ja! Ty! Ja! – i tak wiele, wiele razy.

O dziwo, z każdą minutą nasze ruchy

stają się śmielsze, bardziej precyzyjne, lepiej zaczynamy naśladować instruktora. Nasze twarze zaróżowiły się od wysiłku, oczy błyszczą podnieceniem, które udziela się wszystkim na placu.

– To przecież proste, trzeba tylko znać sekwencję ruchów i przestać się bać przeciwnika – pomyślałam.

Do następnego ćwiczenia bierzemy tarcze bokserkie z twardej pianki, obciążone skórą. Są lekkie i bardzo wytrzymałe. Mamy w nie uderzać pięściami.

– Przyjmujemy tzw. postawę bokserką: nogi lekko ugięte, w wyroku, jedna przed drugą. Ręce zaciśnięte w pięści na wysokości głowy. Zawsze ochraniaemy głowę. Pokazuję: Cios, powrót! Cios, powrót! – sierżant Mariusz wali w tarczę trzymaną przez innego instruktora.

Bierzemy niepewnie tarcze, na szczęście nie są ciężkie. Z tyłu mają specjalne uchwyty, w które wkładamy ręce. Mojej partnerce Gosi proponuję, że najpierw ja będę atakować. Zwijam dłonie w pięści i walę z całej siły w tarczę. Cholera, to jest twarde! Moje kostki doznają bolesnego wstrząsu, ale trudno, walka to walka. Odskakuję, walę jeszcze raz. I jeszcze raz, i jeszcze. Teraz zmieniamy się. Atakuje Gosia, ja biorę tarczę. Sprężam się cała w oczekiwaniu na cios. Uch, ależ mocno! Aż cała się zachwiałam, mimo że Gosia uderza niepewnie.

– Chyba źle stanęłam – myślę.

Poprawiam postawę, przyjmuję następny cios na tarczę. No, teraz lepiej.

– Tarcze trzymać na wysokości głowy. Pozycja jest taka, jak się już nauczyliśmy, na ugiętych nogach, jedna nieco wysunięta do przodu, lekko pochylona sylwetka. I jedziemy! Lewy, prawy! Lewy, prawy! Lewy, prawy! Nadgarstek prosto. Można krzyczeć! JEST MOOOC! – ryczy Mariusz.

Nagle słyszymy głośny wrzask jednej z kursantek:

– Uuuuaa!!! Od razu poczułam się lepiej – stwierdza kobieta.

– Widzicie? Ta pani zareagowała prawidłowo – uśmiecha się z uznaniem instruktor.

– No, drogie panie, teraz przez całe dzieśnięć sekund walimy w tarcze bez przerwy, ile wlezie – instruktor wali w tarczę raz po raz i wrzeszczy wniebogłosy. My wrzeszczymy razem z nim. Nad boiskiem wzbija się pod niebo zbiorowy ryk kursantek:

– UUUAAAA!!!

– DAWAJ, DAWAAAAJ! – drze się Mariusz.

Na placu boiska przy Lubelskiej niosą się głuchoe odgłosy uderzeń o tarcze, instruktorzy chodzą pomiędzy nami, poprawiają nasze ruchy, wyjaśniają. Czujemy się coraz lepiej, mimo że robi się bardzo gorąco. Ale co tam! Trzeba walić w te tarcze, walić! Łup! Łup! Łup! Twarze kursantek skupione, acz pogodne. Wysiłek fizyczny wyzwala endorfiny, silny wiatr chłodzi rozpalone twarze.

– Przerwaaa!

Podczas picia wody kursantki wymieniają między sobą uwagi:

– Zobacz, zdarłam sobie skórę z kostek.

– A ja mam już siniaki na dłoniach.

– Ale fajnie! Podoba mi się!

– Super, nie sądziłam, że walki są takie ekscytujące!

– Teraz będą frontalne kopnięcia na tarczę. Postawa bokserka, pozycja, ręce wysoko. Kolano do góry, wykop i powrót! Kolano do góry, wykop i powrót! Na tarczy powinna się odcisnąć cała stopa, nie jej część. Dzięki temu pchamy mocniej tarczę – instruuje sierżant.

To ćwiczenie kursantkom podoba się najbardziej. Na wszystkich twarzach uśmiechy, ruchy są coraz precyzyjniejsze, kopnięcia coraz silniejsze. Zaczynają się, o zgrozo, rozmowy.

– Co to, kółko dyskusyjne!? – krzyczy instruktor. – Do roboty! Dawaaa! Kop, postawa! Kop, postawa! Kop, postawa! Rozmowy natychmiast się przerywają, wracamy posłusznie do ćwiczeń.

– Teraz utrudniamy. Łączymy dwa proste ciosy plus frontal. Napastnik idzie na mnie, ja chcę go zatrzymać, więc wymierzam kopnięcie i dwa błyskawiczne ciosy pięściami. Bach, bach! Bo o co chodzi w kopnięciu? Żeby napastnika trafić w jaja! A potem uciekać jak naj-



prędzej!

– JEDZIEMY!!! – ryczy instruktor.

Na koniec szkolenia przypadają ćwiczenia ze starszym chorążym Arturem Michalkiewiczem:

– Przechodzimy do ćwiczeń z obchytów i obrony przed nimi. Agresor podchodzi do nas od tyłu i łapie za szyję, o tak. Mariusz, złap mnie. Wtedy nie odchylamy głowy i nie patrzymy, jak wygląda napastnik, lecz w tym momencie najważniejsze jest dla nas uwolnienie szyi. Łapiemy obiema rękami za jego

Czyli, jak szkoliłam się z samoobrony.

Plakat o szkoleniu z samoobrony dla kobiet zobaczyłam w mieście już w połowie czerwca. Dodatkowo sięgnęłam po informacje do sieci, gdzie Ministerstwo Obrony Narodowej wraz z Centralnym Wojskowym Centrum Rekrutacji i Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych wyjaśniali, że celem projektu jest promowanie obronności oraz budowanie pewności siebie w sytuacji kryzysowej. Do tego każda z uczestniczek szkolenia po jego ukończeniu otrzy-

– Witam panie na szkoleniu z samoobrony. Dzisiaj będziemy ćwiczyć: **poruszanie się w walce, przyjmowanie postawy obronnej oraz postawy do ataku, naukę ciosów prostych i sierpowych oraz obronę przed nimi, obchwyty i obronę przed nimi oraz obronę przed atakiem nożownika** – powitał nas starszy chorąży Artur Michalkiewicz. Mam uprawnienia instruktora do walki w bliskim kontakcie, jestem dwukrotnym olimpijczykiem oraz mistrzem Europy w zapasach. Oprócz mnie będą panie szkolic: **sierżant Mariusz Janicki** – instruktor



przedramię i gwałtownie ściągamy w dół. Nawet dwa centymetry wystarczy, bowiem musimy złapać oddech. Wtedy skręcam się do jego boku, uwalniam jedną rękę i uderzam do tyłu dwa razy w jego brzuch lub w krocze, zależy gdzie trafię. Nie czekam na nic, tylko uciekam jak najprędzej. Ćwiczmy!

Zaczynamy trenować w parach. To ćwi-



czenie, mimo wielu nowych ruchów, nie sprawia nam zbytnej trudności, za to jest bardzo ekscytujące. Jakie to wyzwajające, gdy wiem, że jestem w stanie błyskawicznie wyrwać się napastnikowi z takiego – zdawałoby się – paralizującego chwytu.

Ostatnie ćwiczenie w tym szkoleniu to obrona przed atakiem nożownika.

Starszy chorąży Artur bierze do ręki nóż ćwiczebny i wyjaśnia:

– Jeżeli widzimy z daleka osobę z nożem, od razu uciekamy i nie wdajemy się w żadną szarpaninę. Jeżeli jednak napastnik znajdzie się blisko mnie i wyciąga do mnie rękę z nożem, wtedy ja zbijam jego dłoń. O, tak. Zawsze w bok. Moje uderzenie może być tak silne, że napastnikowi nóż wypadnie z dłoni. Mimo to od razu uciekam. Proszę pobrać noże.

Po kolei podchodzimy do torby i bierzemy noże. Mają długość około 20 centymetrów, wykonano je z bardzo miękkiego plastiku, który przy lekkim nacisku mocno się zgina i na pewno nie zrobi nikomu żadnej krzywdy. Stajemy do siebie przodem, jedna trzyma nóż, patrzymy sobie prosto w oczy. Zmienił się nasz nastrój, zapanowało pełne powagi napięcie. Nóż to nóż, to co, że miękki i plastikowy. W naszej głowie te noże są ostre i stalowe. Zaczynamy trening.

– Bardzo dobrze, uciekasz! Nie, nie ode mnie, od napastnika – żartuje instruktor.

Trenujemy walkę z nożami, aż trening dobiega końca. Trzy i pół godziny minęły, nie wiedzieć kiedy. Czy zbudowałam pewność siebie w sytuacji kryzysowej? Tak, z pewnością! Czy nauczyłam się sposobów wykrywania oraz unikania zagrożeń i walki wręcz? Trochę. Podczas tylko jednego szkolenia nie można nauczyć się samoobrony. Szkoda, że takiego kursu nigdy nie było w naszym mieście. A może, gdy burmistrz Robert Pawłowski przeczyta ten tekst, to wysuła jakieś fundusze z miejskiej kasy na szkolenie z samoobrony kobiet? Fajnie by było. Jakby co, już się zapisuję. Pierwsza jestem!

Zdjęcia: wcrboleslawiec/facebook
 Agnieszka Młyńczak



73 lata po ślubie

Przy okazji poszukiwań materiałów o nieistniejącym pałacu w Radziechowie, natrafiłam na nazwisko najstarszego mieszkańca tej miejscowości. On i jego żona zgodzili się ze mną porozmawiać.

– Nazywam się **Władysław Tarnowski**. Urodziłem się 20 września 1927 roku w Hucie Nowej, powiat Buczacz, województwo tarnopolskie. To była tylko polska wieś. Moi rodzice to Weronika, z domu Chaćkiewicz i Michał. Rodzice taty to Petronela i Andrzej. Miałem 3 siostry: Marię, Józefę i Janinę. Na Wschodzie moi rodzice prowadzili gospodarstwo, mieliśmy 2 krowy, konia i kury. Sialiśmy pszenicę, żyto, hreczkę (grykę), sadziliśmy kartofle. Mój tato był stolarzem, podobnie jak dziadek i stryj. Taka rodzinna tradycja. Umieli robić meble (szafy, kufry),



Na koniu z prawej - Władysław (Huta Nowa)

Warsztat stolarski był w stodole, a zimą pracowali w domu. Dom był z cegły, pokryty dachówką, podzielony na dwie części: po prawej stronie od wejścia mieszkaliśmy my, po lewej - stryj z rodziną. Każdy miał duży pokój połączony z kuchnią. Skończyłem w mojej wsi czteroklasową szkołę, jeszcze w 1939 r. chodziłem do niej, potem wkroczyli Rosjanie i skończyła się nauka. Pamiętam ze szkoły, że raz stłukłem obraz z podobizną Stalina i spaliłem go ze strachu. Mogliśmy za to trafić całą rodziną na Sybir, ale na szczęście moja rodzina nie ucierpiała w czasie wojny. Pamiętam, jak w pobliskiej Markowej, przed Bożym Narodzeniem 1943 r., banderowcy zamordowali 38 mężczyzn. Do naszej wsi dwa razy podchodziła banda UPA, ale nie napadli na nas. Zostałem w domu, a tato i stryj wyjechali. Miałem broń i byłem w oddziale pilnującym. Po przyjściu



Maria i Władysław Tarnowscy



Państwo Tarnowscy z córkami



Pan Władysław z rodzicami



Pani Maria z koleżanką

Rosjan, pozabierali starszych na front, a nas - 27 rocznik, szkolili i mieliśmy iść do armii. Zabrali nas do Czortkowa, ale przyszedł rozkaz, że w Lublinie polski rząd powstaje. Ukraińców zabrali do armii, a nas, z monasterzyskiego powiatu, zabrali do policji. Mnie i kolegę z Huty zabrali na NKWD. Ludzie złożyli masło, wódkę, jaja, żebyśmy w tej policji nie byli, bo się bali, że Huta wymordują. Wróciliśmy do domu i kazali nam w lesie słupy telegraficzne ciąć, zabraliśmy ze sobą broń, ale była niemiecka, więc dostaliśmy od Rosjan tylko po 2 lata w zawieszeniu i puścili nas.

Po wkroczeniu Niemców w naszym domu, w części stryja, zrobili sobie kancelarię. Jeden z nich był Ślązakiem, mówił po polsku. Ostrzegł moją mamę, aby uważała na to, co mówi o Niemcach.

Moją żonę **Marię** zapoznałem dopiero tutaj, w Radziechowie, chociaż mieszkaliśmy w tej samej wsi i byliśmy sąsiadami. Jest młodsza o 4 lata ode mnie. Urodziła się 2 września 1931 roku. Po wkroczeniu Rosjan cofnęli ją z 4 do 3 klasy. Tutaj zapisała się jako pierwsza do szkoły, ale nie chodziła do niej. Rodzice nie wymagali wtedy, aby dzieci się uczyły. Teraz jest inaczej. Jesteśmy 73 lata po ślubie, który wzięliśmy w 1950 roku. Urodziły nam się dwie córki: Halina i Elżbieta, mamy pięcioro wnuków. Żona nie pracowała zawodowo, tylko na gospodarce.

Pani Maria: - Moi rodzice: Aniela i Wawrzyniec też mieli gospodarstwo w Hucie Nowej. Tato miał dodatkowo dwie morgi lasu, kupione od dziedzica, zajmował się jego karczowaniem. Dziadkowie ze strony taty to Wiktoria i Wojciech. Tato mamy zginął z rąk Rosjan

sobą krowę, jałówkę i konia, podobnie jak my.

W 1946 r. znajomy ojca namówił mnie przed Wielkanocą na wyjazd do Wrocławia do pracy w fabryce sztucznego jedwabiu. Byłem tam 2 lata, potem wróciłem do Radziechowa i oprócz gospodarki pracowałem na flotacji na „Konradzie”. Pamiętam powódź w Iwinach. Akurat byłem na zmianie i w przepompowni usłyszałem szum wody. Udało mi się stamtąd uciec. Praca w gospodarce była ciężka, pole obrabiano się końmi. Nie zapisałem się do spółdzielni, mimo że mnie namawiali, a nawet grozili. I tak musiałem oddawać dostawy obowiązkowe. Nieraz trzeba było dokupić mięso, aby starczyło na oddanie. W kopalni uszkodziłem sobie słuch z powodu ciągłego hałasu.

Pani Maria: - Pracowało się ciężko, ale życie było wesołe. W niedzielę szło się

podczas napadu banderowców. Miałam dwie siostry: Ludwikę i Kazimierę. Jedną z nich zapisali Niemcy na roboty, miała 16 lat, więc Tato pojechał zamiast niej do Lwowa. Dzięki znajomemu udało mu się uciec z miejsca zbiórki i wrócić, ale musiał się dłuższy czas ukrywać. Trzeba było pomagać rodzicom, nie było tak jak teraz, że dzieci nic nie robią. Kartofle kopali, to trzeba było iść zbierać. Po żniwach dzieci chodziły i kłoski zbierały. Wszystko musiały robić, nawet łać tytoń dla fabryki w Monasterzyskach. Ja pasłam też gęsi.

Pan Władysław: - Ze Wschodu przyjechaliśmy jednym transportem na jesieni 1945 roku: najpierw do Wrocławia, potem do Złotoryi, a stamtąd furmankami do Radziechowa. Jechaliśmy prawie miesiąc. Rodzina Marii zabrała ze

ze znajomymi na potańcówki, rozmawiano, śmiano się. Zawsze była zabawa na koniec karnawału („Faszenki”). Teraz każdy sam sobie żyje, nikogo nie widać. Tylko telewizor, nikt do nikogo nie idzie.

Oboje Państwo podkreślają, że życie było raz dobre, raz złe, bywało różnie. **Wnuk Marcin**, który opiekuje się dziadkami, dodaje, że dziadek był taką „złotą rączką”. Umiął podłączyć wodę, robił hydraulikę, ostrzył piły. Był także w straży pożarnej. Do tej pory jeździ traktorem z lat 70. i odwiedza na rowerze mieszkającą nieopodal siostrę Józję. Ostatnio pomagał mu przy wylewaniu betonowego murka.

I oby żyli jak najdłużej razem w zdrowiu, czego im serdecznie życzę.

Wioleta Michalczyk



Znowu wakacje, aż się wierzyć nie chce, przecież dopiero było Boże Narodzenie. Z miłym dreszczykiem wspomnień z poprzednich wyjazdów wakacyjnych zaczynamy planować tegoroczny. Prawdę mówiąc, to z reguły wczasy miałem zaplanowane już w lutym. Tak też chciałem zrobić i w tym roku, ale niekorzystne warunki makroekonomiczne, takie jak wojna, inflacja i kurs euro spowodowały, że niestety postanowiłem nad tym trochę pomyśleć.

Analiza ofert znajomego biura podróży nie napawała optymizmem, a ceny organizowanej przez grupę znajomych wycieczki do Włoch przekroczyły mój plan budżetowy. Właśnie, że 2/3 ceny podane było w euro. Zwiedziony oświadczeniem Prezesa NBP i Przewodniczącego Rady Polityki Pieniężnej, że „Schodźmy już z płaskowyżu...” zrezygnowałem z opcji zakupów tak zwanej: „first minute”. Postanowiłem czekać. Moją decyzję potwierdzały także analizy cen paliwa lotniczego, które na początku tego roku były irracjonalnie wysokie w stosunku do ceny baryłki Brent, czyli ceny giełdowej ropy. W 2022r. w wyniku wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej rekordowo wzrosły ceny ropy i paliwa, ale potem ceny ropy spadały, a paliwa lotniczego nie. Pytany o tę rozbieżność przedstawiciel polskiego wiodącego przedsiębiorstwa paliwowego z irytującym uporem tłumaczył, że to są właśnie ceny „rynkowe”.

Tak czy owak, jest czerwiec i jak duża część złotoryjan swoją nadzieję na udane wakacje pokładam w ofertach „last minute”. Ale ich nie widzę. Koleżanka od poniedziałku jest na nieplanowanym urlopie, właśnie dlatego, że kupiła w opcji „LM” wczasy w Turcji. Ale, jak mi mówiła, okazja pojawiła się tylko na dwa dni. Szybko musiała się zdecydować, stoczyć batalię o nagły urlop z szefem, ostro negocjując z koleżanką, która ją zastępuje i... zapłaciła tyle, ile w poprzednim roku. No ale to ciągle czerwiec.

Strony www. biur turystycznych oferują wyjazdy już od półtora tysiąca zło-

tych. Jednak jak się w nie włączyć, oferty obejmują krótsze pobytu, na przykład tylko 4 dni, albo tylko okresy poza sezonem. Kiedy zmieniam termin na lipiec czy sierpień, ceny potrafią wzrosnąć dwukrotnie.

Jak podają analitycy zajmujący się trendami na rynku turystycznym, średnia cena wycieczki oferowanej przez biura podróży w porównaniu do roku 2022 wzrosła o 1 tys. zł. Oczywiście nie wszystkie kierunki wyjazdów podrożały tak samo, najdrożej moje. Ukochana przeze mnie Hiszpania jest droższa o ponad 1,2 tys. zł, podobnie Portugalia. Najmniej wzrosły ceny wypoczynku w Bułgarii, Egipcie, Malcie, Cyprze, a w Albanii to w ogóle nie wzrosły. Pomimo że koszty biur podróży są mniejsze niż rok temu, ceny wcale nie. Podobno to wina inflacji. Ale inflacja w niewielu krajach europejskich przekracza liczbę dwucyfrową i nie tłumaczy wzrostu cen o 30%. Jest natomiast jedna rzecz, która to tłumaczy. To, że ludzie zaakceptowali ten poziom cen.

W wywiadzie dla Wprost.pl członek zarządu jednego z największych polskich touroperatorów „Rainbow Tours” powiedział, że do połowy kwietnia tego roku mieli sprzedaż większą o prawie połowę niż w roku poprzednim. Gdzie indziej czytamy, że z analizy wiodących multiagentów turystycznych w Polsce widać, że blisko 30 procent wyjazdów wakacyjnych zostało sprzedanych w pierwszych czterech miesiącach roku. Dalej jest o tym, że w ofertach „last minute” nie będzie można przebierać, bo ich liczba jest ograniczona. No i mam swoje myślenie i przenikliwą analizę cen z początku roku.

Ludzie chcą wypoczywać, a oszczędzają na rzeczach materialnych, jak na przykład elektronika czy ubrania. Zresztą pieniędzy nie ma co trzymać w portfelu, bo szybko tracą na wartości. Za rok i tak wszystko będzie droższe. Co więc mi pozostaje? Podobno coraz większym zainteresowaniem, poza Turcją i Grecją, gdzie ciągle jeździ 25-30% Polaków, cieszą się Zanzibar, Wyspy Zielonego Przylądka, czy Oman. Dominikana i Meksyk czy nawet wenezuelska wyspa Margarita też brzmi zachęcająco. Przecież żyje się tylko raz.

Jarosław Jańta

Każdy z nas jest cudem



Każdy z nas jest cudem, więc uśmiechnij się i miej nadzieję. Takimi słowami można by podsumować koncert zespołu współczesnej muzyki chrześcijańskiej **POKOLENIA**, który odbył się w niedzielę 25 czerwca, w świetlicy w Twardocicach. Kilkadziesiąt osób zgromadziło się, aby posłuchać muzyki i śpiewu rodzinnego zespołu z Legnicy. Jego członkowie należą do Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Przyjęli zaproszenie od Gminnego Centrum Kultury i Biblioteki w Pielgrzymce. Na scenie pojawił się wielopokoleniowy zespół, który swoim wykonaniem i aranżacją pieśni o charakterze religijnym wzruszył i wciągnął do zabawy zebraną publiczność. Koncert prowadził **pastor Andrzej Sieja**. Prezentowane utwory były opatrzo-

ne przez niego niezwykle, dającym do myślenia komentarzem. Każdy mógł w tych pieśniach znaleźć coś dla siebie: nadzieję, nawet w trudnych, życiowych sytuacjach, szansę daną każdemu od Boga, cud, jakim jest życie, potrzebę pokój. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, kiedy i jak powstał zespół, który ma w swym składzie członków dwóch rodzin, muzykujących razem. Przepiękne głosy sopranów, altów i tenora, akompaniament skrzypiec, gitary, harmonii i instrumentów perkusyjnych stworzyły wspaniałą atmosferę koncertu. Oto kilka głosów widzów o wrażeniach po koncercie: „- Słyszałam pierwszy raz, ale bardzo mi się podobało”; „- Nawet mi się łezka zakręciła w oku. Takie oderwanie od codzienności”; „- Wsłuchałam się w to, było super”; „- Jestem drugi raz na tym koncercie”; „- Jestem cały czas pod ogromnym wrażeniem. Dla mnie to takie naładowanie akumulatorów, daje siłę do pracy i do przewycięzania trudności”; „- Jestem oczarowana. Huśtawka emocji. Każdy z zespołu śpiewał całym sobą, jednocześnie tworząc całość”. Słuchając tych wypowiedzi, stwierdziłam, że warto było skorzystać z zaproszenia na ten koncert.

Wioleta Michalczyk

PODZIEL SIĘ WSPOMNIENIAMI

Z okazji zbliżającego się 60-lecia Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi planujemy opracowanie i wydanie publikacji:

„Dzieje Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi (1964-2024)”

Książka będzie zawierała historię szkoły oraz wspomnienia jej uczniów i pracowników.

Jeśli byłeś uczniem, nauczycielem, pracownikiem szkoły, rodzicem ucznia, to gorąco zachęcamy Cię do dzielenia się swoimi wspomnieniami z nauki i pracy w „Trójce”. Teksty mogą mieć formę: wspomnienia, wywiadu lub pamiętnika. Mile widziane są zdjęcia, dokumenty, zeszyty, dyplomy. Nasi nauczyciele są gotowi udzielić wszelkiej pomocy. Mogą też sami przeprowadzić wywiady z osobami zainteresowanymi przekazaniem wspomnień.

Materiały można dostarczać osobiście do sekretariatu SP3 lub na e-mail: spkonto3@sp3.zlotoryja.pl

- 7 - 27.05 uczniowie Szkoły Branżowej Pierwszego Stopnia w Złotoryi realizowali praktyki zawodowe w Ostritz w Niemczech w ramach Programu Erasmus+.
- 26 – 28.05 w Złotoryi odbyły się Dni Złotoryi oraz 29. Międzynarodowe Otwarte Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota.
- 30.05 w Szkole Podstawowej nr 3 w Złotoryi odbył się odczyt Romana Gorzkowskiego pt. „Co Złotoryja zawdzięcza Henrykowi I Brodatemu?”.
- 31.05 w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbył się wernisaż Jakuba Zapłaty „Sztuka jest we mnie – przegląd twórczości”.
- 1.06 w Rynku Złotoryjski Ośrodek Kultury zorganizował obchody Dnia Dziecka.
- 2.06 w Skansenie Górniczo-Hutniczym w Leszczynie odbyła się 9. edycja „Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota Osób z Niepełnosprawnością”.
- 2 - 3.06 w Złotoryi na stadionie miejskim odbyła się akcja charytatywna „Bieg 24h Złotoryja”.
- 3.06 w Wilkowie-Osiedlu rozegrany został „Bike Maraton”.
- 3.06 na kortach ZTT miało miejsce uroczyste zakończenie 48. edycji Ligi Tenisowej Złotoryi „VIT-BIS” 2022.
- 3.06 w Hali Sportowej Tęcza w Złotoryi odbył się „Turniej Tenisa Stołowego Weteranów i Seniorów o Puchar Burmistrza Złotoryi”.
- 4.06 w Złotoryi odbył się wyścig kolarski „Szosowy Klasyk – Złota Wstęga Kaczawy”.
- 4.06 z okazji Dnia Dziecka na kortach ZTT dzieci grały o puchar burmistrza Złotoryi.
- 9.06 w Złotoryi nad zalewem Związek Kynologiczny PL. zorganizował czwartą edycję krajowej wystawy psów rasowych.
- 10.06 na strzelnicy „Złote Wzgórze” odbyły się II Mistrzostwa Dolnego Śląska IPSC.
- 16.06 w Złotoryi zainaugurowano kolejny sezon „Złotoryjskich Spacerów”
- 17.06 na złotoryjskich kortach rozegrany został „Ogólnopolski Turniej Klasyfikacyjny Młodzików w Tenisie Ziarnym o Puchar Firmy Bazalt”.
- 17 – 18.06 w Wojcieszynie odbyły się 2. Międzynarodowe Mistrzostwa w płukaniu złota w rzece.
- 19.06 w „Gold Hotelu” w Złotoryi senatorowie Koalicji Obywatelskiej spotkali się z mieszkańcami Złotoryi.
- 19.06 drużyna robotyków „#roboratorium” ze Szkoły Podstawowej w Świerzawie została mistrzami Polski w kategorii „roboty sumo” oraz „model robota”.
- 19.06 w GCK w Pielgrzymce otwarto wystawę „Księga, która przetrwała wieki”.
- 20.06 na cmentarzu parafialnym w Świerzawie z honorową asystą wojskową odbyła się uroczystość oznaczenia grobu podoficera Mikołaja Szewczyka tabliczką IPN.
- 21.06 w Szkole Podstawowej nr 3 w Złotoryi odbyły się Międzyskolne Zawody Robotyczne w Kategorii Robotów Sumo.
- 21-22.06 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury pożegnano uczniów klas ósmych SP1 i SP3.
- 23.06 w Proboszczowie odbyła się XIII „Magiczna Noc Świętojańska”.
- 23 – 25.06 w Wojcieszowie odbyły się imprezy w ramach Dni Wojcieszowa 2023 i 50-lecia nadania praw miejskich.
- 25.06 Złotoryja stała się przystankiem „Tour de Konstytucja”.
- 25.06 w świetlicy w Twardocicach odbył się koncert współczesnej muzyki chrześcijańskiej „Pokolenia”.
- 25.06 w Zagrodnie odbyła się XII biesiada ludowa „Nad Skorą Śpiewanie”.
- 1.07 w Zamku Grodziec odbyło się „Święto Kwitnących Lip”.
- 1.07 w Kościele w Wilkowie oraz świetlicy w Jerzmanicach odbyły się jubileuszowe uroczystości z okazji 10-lecia działalności Zespołu Folklorystycznego „Złota Leszczyna”.
- 1 – 2.07 w Świerzawie odbyły się imprezy w ramach „Świerzawskiego Święta Krainy Wygasłych Wulkanów”.
- 4.07 Stanisław Zawadzki, instruktor modelarstwa w Złotoryjskim Ośrodku Kultury, zakończył pracę nad makietą fragmentu fortyfikacji miejskich z XVIII wieku w skali 1:35.
- 8.07 w kamieniołomie „Łomy” w Lubiechowej odbył się „XV Złot Kobiet Czarujących”.
- 12.07 w holu ZOK otwarto wystawę prac młodej złotoryjanki Mai Siwik.
- 14.07 Szkoła Podstawowa w Sokołowcu jako jedyna placówka z Polski otrzymała nagrodę The Entrepreneurial School Awards przyznaną przez organizację JA Europe za zaangażowanie w promowanie wśród uczniów przedsiębiorczości.
- 15.07 nad złotoryjskim zalewem odbyły się VII Ogólnopolskie Mistrzostwa Płukania Złota Diabetyków.
- 17 - 18.07 odbyły się warsztaty dla młodzieży „Złotoryja programuje”.
- 21.07 odbyła się kolejna wycieczka w ramach akcji „Złotoryjskie Spacerory” szlakiem złotoryjskiej gastronomii pod nazwą „Feta i galareta”.
- 22.07 na złotoryjskim cmentarzu miała miejsce ceremonia oznaczenia grobu kaprala Kazimierza Puklicza, wpisanego do ewidencji weteranów walk o wolność i niepodległość naszego kraju.
- 22.07 na boisku przy ulicy Lubelskiej odbyły się szkolenia z samoobrony dla kobiet, zorganizowane przez Wojskowe Centrum Rekrutacji.
- 28.07 stare samochody odwiedziły Złotoryję w ramach IV Rajdu Pojazdów Zabytkowych.
- 30.07 przez Złotoryję, Świerzawę i Wojcieszów przejechał wyścig kolarski „Tour de Pologne”.

Opracował Jarosław Jańta

Spotkanie na wulkanie



Kraina Wygastych Wulkanów jest miejscem, w którym żyjemy, tu prawie każda góra była kiedyś wulkanem. Nie inaczej jest we wsi Prusice, gdzie niewielkie wzgórze opodal wsi, zwane potocznie górką Karola, okazało się wygasłym wulkanem, a właściwie stożkiem wulkanicznym. Wyszło na jaw, że ma on swoją geograficzną nazwę – **Kopczyzna**, który wznosi się na wysokość 258 m nad poziom morza i ma nawet krater. Żeby go zobaczyć, należy wejść na najwyższe miejsce góry i popatrzeć w jej środek. Rzeczywiście, jest krater! Dopiero teraz masz poczucie, że jesteś na szczycie wulkanu. Wygasłego, na szczęście.

WULKAN I KRATER

O tym, jak górką stała się wulkanem, opowiadają trzy niezwykle prusiczanki, członkinie zarządu **Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice**. Spotykam się z nimi właśnie w kraterze wulkanu. Jest 20 maja, po wielu deszczowych i zimnych dniach w końcu zaświeciło słońce i zrobiło się całkiem przyjemnie. Siadamy wygodnie na drewnianych ławkach z przepołowionych bali, wyczyszczonych przez słońce i deszcz, i zaczynamy rozmowę.

Moje rozmówczyni to **Joanna Piechowicz** – prezeska stowarzyszenia, **Iwona Kondraczuk** – wiceprezeska oraz **Dorota Bocheńska** – sekretarz stowarzyszenia.

– Tak naprawdę to stowarzyszenie zawdzięczamy Marii Leśnej, która wówczas była wójtem Gminy Złotoryja. Po-

wiedziała: „Założcie stowarzyszenie, dostaniecie unijny grant, a potem się zobaczycy” – zdradza prapoczątki Dorota Bocheńska.

Stowarzyszenie zawiązało się w 2018 roku. W statucie jako cel między innymi wpisano szeroko rozumianą działalność kulturalną, w tym działania na rzecz zachowania i rozwoju lokalnej tożsamości, tradycji, obyczajów i dóbr kultury oraz podejmowanie przedsięwzięć związanych z rozwojem wsi.

Energicznie przystąpiono do działań na rzecz zachowania i rozwoju lokalnej tożsamości. Pierwszy projekt pod nazwą **Utworzenie punktu widokowego i rekreacyjnego w kraterze wygasłego wulkanu** powstał już w 2019 roku, szybko pozyskano grant i prusiczanie z energią rzucili się w wir pracy. Chętnych nie brakowało. Najpierw cały teren posprzątno, a na oczyszczonej przestrzeni znalazło się dużo miejsca na infrastrukturę, czyli stoły i ławy w postaci przepołowionych bali, wykonano obmurowane miejsce na ognisko. Siłami wolontariuszy została wytyczona i wykonana wygodna dro-

ga na szczyt.

– W ogóle to zagospodarowanie Kopczyzny miało trzy główne etapy: najpierw ustawiono ławy i stoły, potem opracowano i postawiono tablicę informacyjną, a na końcu była **ŁAWKA** – wspomina wiceprezeska Iwona Kondraczuk.

– Byłam wtedy unieruchomiona w łóżku, bolał mnie kręgosłup, leżałam jak kłoda – mówi pani Joanna – lecz dzięki temu, z łóżka boleści, załatwiłam mnóstwo spraw dla stowarzyszenia.

Tablica informacyjna postawiona na Kopczyźnie zawiera zdjęcie wulkanu z lotu ptaka, na którym doskonale widać krater, mapkę z zaznaczonymi stożkami wulkanicznymi w okolicy oraz opis w językach polskim i niemieckim.

Na pomysł ławki jako punktu widoko-



Zabawa rekreacyjna na Kopczyźnie 2019 r.

wego wpadł Łukasz Żuber, który pomagał w uzyskiwaniu grantów. Przedstawił kilka propozycji i w rezultacie zdecydowano się na prostą i solidną ławkę, która mogłaby dłużej przetrwać. Materiały zakupiono z grantu, natomiast prace przy wykonaniu i montażu w całości zaoferowali bezinteresownie mieszkańcy Prusic.

– Serdecznie dziękujemy wszystkim pomagającym, lecz szczególnie podziękowania za wszelaką pomoc kierujemy do sołtysa Kazimierza Gregulskiego, jesteście też wdzięczni stolarzowi Andrzejowi za prace w drewnie oraz elektrykowi Janowi Piątkowi – wymienia prezeska Joanna Piechowicz.

Ławka ustawiona w kraterze Kopczyzny to swoisty żart, bowiem jest ogromna! Wysoka na 2,15 metra i długa na 5,20 metra, więc trzeba się trochę wy-

silić, aby na nią wejść; bez trudu zmieści się na niej ponad dziesięć osób! I to jest właśnie punkt widokowy na Kopczyźnie. Wieść o tym dotarła nawet do Radia Wrocław, które przyjechało na miejsce, porozmawiać z mieszkańcami, a potem w sierpniu 2020 r. wyemitowało reportaż o wielkiej ławce w Prusicach. Mieszkańcy mówią o niej nie ławka, lecz **ŁAWKA**, stosownie do wielkości. Można na niej wygodnie się rozsiąść w kilka osób lub wygodnie położyć i podziwiać przepiękną panoramę Krainy Wygastych Wulkanów.

Pierwsze **Spotkanie na wulkanie** jako imprezy rekreacyjnej dla mieszkańców wsi wyznaczono na 19 października 2019 roku. Opis tego pamiętnego dnia został udokumentowany w raporcie końcowym z realizacji umowy w ramach programu „Działaj lokalnie”:

Była to sobota i pogoda dopisała wysmienicie. Przygotowaliśmy poczęstunek i atrakcje, zwłaszcza dla dzieci. Z samolotu-awionetki były zrzucane łakocie na długich papierowych wstążkach, by łatwiej je było znaleźć, malowanie dziecięcych buziek w formie zwierzątek, przejażdżki końmi. Dzieci miały też do dyspozycji różne zabawki plenerowe.

Adela Kosuś przybliżyła słuchaczom geologiczną historię Krainy Wygastych Wulkanów.

Otwarcie zaszczylił swoją obecnością wójt gminy Złotoryja, Jan Tymczyszyn.

Zabawa przy wójtówce muzyki trwała nawet po zapadnięciu ciemności.

Efekty przeszły nasze oczekiwania, gości naliczyliśmy około sześćdziesięciu. Każdy z nich otrzymał specjalnie w tym celu wydrukowaną pocztówkę z widokiem wulkanu i informacją na odwrocie. Ludzie byli ożywieni, zainteresowani, widać było, że podobało im się spotkanie. Wielu mówiło, że wreszcie coś się w Prusicach dzieje. Jako organizatorzy byliśmy zmęczeni i zestresowani, ale bardzo zadowoleni z efektu. Zamierzamy takie spotkania na wulkanie nadal organizować, za każdym razem pod innym hasłem.

Opowiada prezeska Joanna Piechowicz:

– Nasze imprezy rekreacyjne są przygotowywane przez stowarzyszenie w ten sposób, że my zapewniamy podstawowy poczęstunek w postaci kiełbasek do upieczenia na ognisku, a mieszkańcy częstują się nieodpłatnie. Teraz zaczęła się dokładać Gmina Złotoryja, za co jesteśmy bardzo wdzięczni wójtowi Janowi Tymczyszynowi. Bardzo pomaga też

nam organizacyjnie Jarosław Szapował, dyrektor z Centrum Kultury i Biblioteki. Załatwia nam np. transport ławek, leżaków, wypożycza dmuchańce czy skrzynie tajemnic dla dzieci. Pomaga realizować nasze pomysły. Na nasze wydarzenia zawsze zapraszamy wójta Jana Tymczyszyna, który chętnie przychodzi. Po sąsiedzku z Leszczyny wpada też starosta Wiesław Świerczyński.

Spotkania na wulkanie w Prusicach, polegające głównie na rekreacji i zabawie, stały się już miejscową tradycją, lecz na Kopczyźnie organizowane są także wydarzenia kulturalne. Trzy razy były urządzone seanse kinowe pod gołym niebem. Ochotnicza Straż Pożarna udostępniła agregat prądotwórczy, organizatorzy zadbały o leżaki, na których zwinęliśmy w koce prusiczanie oglądali fajne filmy na tle ciemnego nieba. Było wspaniale!

REGIONALNA IZBA PAMIĘCI

Wieś Prusice ma wiele zabytków, głównie sakralnych. Najważniejszy i najcenniejszy to kościół pochodzący z wczesnego średniowiecza, ma w swojej architekturze nawet romańskie elementy.

– Z zabytków niesakralnych mamy nieszczęsny pałac, cholera jasna! – denerwuje się Dorota Bocheńska, sekretarz stowarzyszenia. – To własność potężnego rodu Hohbergów, ale z powodu złego zarządzania przez Agencję Nieruchomości Rolnych popadł w ruinę. To wspaniała budowla, ostatni właściciel mieszkał w nim do 1945 roku.

Na posesji kościoła posadowiona jest szczególna budowla. To zabytkowa kaplica grobowa, w zasadzie mauzoleum, z XVIII wieku. Chowano w nim członków potężnego rodu Hohbergów, którzy przez trzysta lat byli właścicielami Prusic i okolicznych terenów.

W latach siedemdziesiątych XX wieku budynek przeznaczono na mieszkanie dla prusickich księży, a po ich wyprowadzeniu się budynek latami stał niewykorzystany i zaczął popadać w ruinę. I wtedy wójt gminy Maria Leśna wpadła na pomysł, aby tu urządzić izbę pa-

mięci. Przekonywała wiejskich społeczników, aby reaktywować stowarzyszenie (pierwsze zostało założone w 2006 roku, ale właściwie nie działało), bo inaczej nie będzie można pozyskać żadnych funduszy.

Jednocześnie gmina przystąpiła do remontu, aby przygotować byłe mauzoleum do nowej funkcji. Budowlę niszczyła głównie woda, więc zabezpieczono dach przed przeciekaniem i wstawiono nowe rynny dla skutecznego odwodnienia. Wewnątrz budynku zdemontowano ścianę działową, usunięto zniszczone tynki, w zamian wykonano nowe otynkowanie ścian i sufitu, pomalowano je. Uzupelniono podłogę i schody. Wymieniono instalację elektryczną wyposażoną w nową rozdzielnię elektryczną zgodną z wymogami budowlanymi. Do izby pamięci zakupiono cztery prze-



Krater wulkanu Kopczyzna

szklone gabloty oraz ponad dwadzieścia antyram naściennych.

Byłe mauzoleum to niezwykła i piękna budowla z bogatym wystrojem architektonicznym, nad wejściem widoczne imponujące kartusze herbowe właścicieli. Okazałe drzwi, choć nieoryginalne, ale odtworzone w detalach, prowadzą do zaskakująco przestronnego wnętrza, które na trzech kondygnacjach skrywa kilka urokliwych pomieszczeń. Niewielkie, łukowe i okrągłe okienka w grubych murach dodają wnętrzu tajemniczości. Stylowe drewniane schody i podłogi z desek sprawiają, że czujemy się jak w budynku mieszkalnym. Nic dziwnego, że księża mieszkali tu przez wiele lat.

Zbiory w izbie pamięci dotyczą nie tylko Prusic, ale też okolic, dlatego obiekt ma w nazwie słowo regionalna. W szklanych gablotach wyeksponowano pamiętki przypominające o dziedzic-

twie kulturowym pruszczań, przedmioty użytkowe, są narzędzia pracy, stare zdjęcia wsi, stare pocztówki, tablice



Regionalna Izba Pamięci w Prusicach

pamiątkowe, ekspozycja skał i minerałów z Pogórza Kaczawskiego. Jest kącik poświęcony prusickim sportowcom, którzy swojego czasu odnosili sukcesy w różnych dyscyplinach.

Kobiety oprowadzają mnie po izbie pamięci i z dumą pokazują kolejne ekspozycje, opowiadając historie związane z odnalezieniem czy pozyskaniem kolejnych pamiątek.

Historia pierwsza

– W tej gablocie są skarby, które osobiście znalazłam na strychu domu, gdzie mieszkałam, tu, w Prusicach – opowiada prezeska Joanna, której ze wzruszenia załamuje się głos. – I znalazłam tam trzy księgi urodzeń! Zobacz, Agnieszko, najstarszy wpis to 1877 rok! Jeden z niemieckich turystów, starszy pan, znalazł w tej księdze swoją siostrę. Był bardzo wzruszony.

Przed moimi oczami w oszklonej gablocie leży stara księga z odręcznie wpisanymi imionami, nazwiskami i datami urodzeń. Czarnym atramentem, starannie wykaligrafowane, bez skreśleń i kleksów objawiają się nam poprzedni mieszkańcy Prusic. Ze wzruszenia dla takich skarbów zastygam w bezruchu i na chwilę tracę głos.

Historia druga, lecz nie ostatnia, bo jest ich więcej

– A to zupełnie świeży nabytek, Agniesz-

ko – pani Joanna kieruje mnie ku pięknej stylizowanej gablocie, którą niedawno kupiła. – Blikiem płaciłam, bo to przez Internet, chociaż zwykle unikam tej formy, ale bardzo mi na niej zależało. Uważam, że jest piękna.

Za szkłem na szydełkowej serwetce leży broszura autorstwa pastora Johannes Grunewalda o historii kościoła w Prusicach (*Zur Orts- und Kirchengeschichte von Prausnitz, Kreis Goldberg 1976*), który wiele był lat pastorem w Złotorzy, a historykiem z zamiłowania. Napisał wiele takich broszur, ta jest kolejna, dlatego zaczyna się od 37. strony. W 1977 roku autor подарował swoją broszurę Katarzynie Teterze, która pochodziła z Prusic i mówiła po polsku, resztą jest tłumaczką przysięgłą. Kilka tygodni temu Joanna Piechowicz odebrała tajemni-



Jedno z pomieszczeń w Izbie pamięci

czy telefon, z którego wynikało, że rzeczona pani Katarzyna pragnie przekazać tę broszurę stowarzyszeniu w Prusicach. Prezeska w mig pojęła, że oto trafia się jej kolejny skarb do prusickiej izby pamięci. Dlatego właśnie w tempie błyskawicznym nabyła nową gablotę, w której na honorowym miejscu umieściła ową broszurę. Obok jest miejsce na przekład w języku polskim, który – według zapewnienia zarządu – nastąpi wkrótce.

Na najwyższej kondygnacji budowli z zachwyty zapiera mi dech. Okrągłe pomieszczenie z drewnianą podłogą i ozdobną niską kopułą, którą można niemalże dotknąć ręką. Powietrze przesyca lawendowy aromat od bukietów we wnękach okien. Wyjątkowa atmosfera sprawia, że mam ochotę usiąść, zadu-

mać się i długo nie wychodzić. Joanna martwi się, że stoi tu, co prawda, kilka krzesel, ale nie ma stołu. Bo jakże robić zebrania bez stołu?

– Zwiedzających tu nie zapraszamy, to przestrzeń tylko dla nas, członków stowarzyszenia. W tym miejscu zbieramy się, aby dyskutować o sprawach stowarzyszenia, ale też, by zwyczajnie spotkać się przy kawie i porozmawiać o wszystkim. Mało kto widział to pomieszczenie, więc docerń, Agnieszko, że cię tu wpuszczamy – żartuje Dorota Bocheńska.

Plany na przyszłość

Regionalna Izba Pamięci działa od 2020 roku na mocy umowy użyczenia pomiędzy Gminą Złotorzya a parafią rzymskokatolicką w Prusicach. Umowa jest bezterminowa, więc można snuć plany dalekosiężne, których pruszcianie mają bardzo dużo.

Przekrój wiekowy członków Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice to 40 - 60 lat, więc ludzie w sile wieku, z dużym doświadczeniem życiowym i zawodowym. Nie boją się pracy, bowiem w swoich działaniach mogą liczyć na wsparcie i pomoc swoich sąsiadów i członków rodzin. Mają plany związane z tłumaczeniami niemieckojęzycznych pamiątek, umieszczenie na pewnej posesji pamiątkowej tablicy związanej z odwiedzeniem Prusic przez niemieckiego noblistę Gerharta Hauptmanna*, czekają ich prace związane z dalszą ochroną zabytków Prusic i wiele innych.

Redakcja „Echa Złotorzy” będzie się temu życzliwie przyglądać i wspierać pruszczań w ich dążeniach do ba-

łości i troski o swoją małą ojczyznę.

Agnieszka Młyńczak

* O Gerhartcie Hauptmannie w Prusicach pisaliśmy w „Echu Złotorzy” marzec/2023. Artykuł pt. „Śladami noblisty”.

📷 Zdjęcie tytułowe, od lewej: Dorota Bocheńska, Łukasz Żuber, Jacek Kondraczuk, Monika Pałka-Wolak, Iwona Kondraczuk, Joanna Piechowicz. Źródło: Radio Wrocław

wiając pamiątkowe sprzęty, mnóstwo zdjęć pisarza i jego rodziny oraz przyswajając liczne informacje.

Masywny, podobny do zamku dom, będący architektonicznie mieszanką historyzmu i neorenesansu został zbudowany w latach 1900 - 1901 według projektu berlińskiego architekta Hansa Grisebacha. Zbudowana na granitowej skale siedziba zwana **Wiesenstein (Łąkowy Kamień)**, jest otoczona parkiem o powierzchni około 1,6 ha. Powstała w zamyśle jako willa widokowa, z której rozpościerał się widok na Karkonosze. Pisarz zamieszkiwał willę od roku 1901 aż do swej śmierci w roku 1946 – czytamy na stronie muzeum.

Na koniec przeszliśmy się po parku okalającym willę i po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Ponieważ pozostał nam niedosyt, postanowiliśmy jak najprędzej odwiedzić drugie muzeum, poświęcone braciom



Po drugiej wojnie światowej z Prusic wygnano wszystkich dotychczasowych mieszkańców. Następnie byli oni zmuszeni osiedlić się z zupełnie innym miejscu, na zachód od Nysy Łużyckiej. Z tęsknoty za swoją ojczyzną zaczęli pisać wspomnienia o szczęśliwych latach młodości. Wspomnienia te zostały przez nich starannie wydane i tym sposobem powstały cztery tomy tzw. *Kronik Prusickich*. I właśnie w jednej z nich znalazły się wzmianki o szczególnych wizytach pewnego pisarza.

Na kanwie tych wspomnień, odszukanych w drugim tomie przez Dorotę Bocheńską, został napisany tekst pt. „Śladami noblisty”, który ukazał się w marcowym „Echu Złotorzy” z 2023 roku. Opowiada on o historii znalezienia tego źródła i o rokrocznych wizytach niemieckiego pisarza i laureata nagrody Nobla z 1912 roku, Gerharta Hauptmanna, w latach dwudziestych i trzydziestych XX w., w Prusicach koło Złotorzy.

Exemplarz naszego pisma z cytowanym artykułem przestaliśmy do muzeum Gerharta Hauptmanna w Jagniątkowie. Na początku czerwca otrzymaliśmy w odpowiedzi miłą wiadomość:

Artykuł sprawił nam niezwykłą radość. Dziękujemy autorce artykułu, Pani

Agnieszce Młyńczak. Serdecznie zapraszamy do naszego obiektu w Jagniątkowie. Z przyjemnością oprowadzę po muzeum i pokażę Państwu nasz piękny zabytkowy ogród, który zakładał Gerhart Hauptmann.

Z wyrazami szacunku, Katarzyna Trembecka.

I tak oto już dwa tygodnie później ekipa w składzie: Dorota Bocheńska – szczęśliwa znalazczkini niezwykłej historii, Joanna Piechowicz – prezeska Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice oraz pisząca te słowa, pędziła samochodem o poranku w stronę Jagniątkowa.

W Muzeum Miejskim „Dom Gerharta Hauptmanna” powitała nas p.o. dyrektora Karolina Matusiewicz - Górnjak, której Joanna Piechowicz wręczyła suvenir w postaci piernika z wizerunkiem prusickiej Izby Pamięci. Dyrektorka wstępnie zapoznała nas z historią powstania budynku, opowiedziała o przepięknej, fantastycznej polichromii w Hali Rajskiej, a następnie – już same – zwiedzałyśmy powoli cały obiekt, podzi-



Carlowi i Gerhartowi Hauptmannom, w Szklarskiej Porębie. Już cieszymy się na tę wycieczkę.

📷 Zdjęcie tytułowe - od lewej: Joanna Piechowicz, Dorota Bocheńska i Agnieszka Młyńczak przed Domem Gerharta Hauptmanna w Jagniątkowie

📷 Agnieszka Młyńczak

Unia Złotych Miast na nowo



Mimo, że Ziemia zna metale zdecydowanie rzadziej występujące i cenniejsze, to właśnie złoto od wieków najbardziej rozpala wyobraźnię ludzi. Zdziwiają jego właściwości - jest tak plastyczne, że z 1 g można wyklepać blachę o powierzchni 1 m² oraz wyciągnąć nić o długości 165 cm i grubości ludzkiego włosa. Zadziwia mnogość sposobów jego pozyskiwania - w Złotorzy wypłukuje się je z pokładów aluwialnych w złotonośnych piaskach rzecznych, a w Złotym Stoku odzyskiwano je z rud śmiertelnie trującego arsenu. Wkrótce o dolnośląskim złocie będzie jeszcze głośniejsze, ponieważ w maju doszło do podpisania nowego paktu o wzajemnej promocji Złotych Miast.

Elżbieta Szumska, z wykształcenia technika weterynarii, od dzieciństwa uwielbiała eksplorować sztolnie, podziemia, a przebywanie pod ziemią przynosiło jej spokój i wytchnienie od codziennych trosk. Nic więc dziwnego, że kiedy w połowie lat 90. postanowiono uruchomić podziemną trasę turystyczną w starych sztolniach dawnej kopalni w Złotym Stoku, Elżbieta zgłosiła się na przewodnika. Plany inwestorów pokrzyżowała powódź tysiąclecia, która w wyjątkowo brutalny sposób obeszała się z Kotliną Kłodzką. Turystyka zamarła na blisko 2 lata, a akcjonariusze kopalni przestali wierzyć w osiągnięcie zysków. Najpierw postanowili wydzierżawić podziemną trasę turystyczną, a Elżbieta zdecydowała się wziąć sprawy w swoje ręce. Kiedy i to rozwiązanie nie usatys-

fakcjonowało właściciele postanowili kopalnię sprzedać za niebagatelną wówczas kwotę miliona złotych. Elżbieta Szumska podjęła najtrudniejszą decyzję w swoim życiu, a jak czas pokazał także najlepszą. Zastawiła cały rodzinny dobytek, odbyła dziesiątki rozmów w bankach i w końcu udało się! Zaciągnęła olbrzymi kredyt i kupiła kopalnię. Ją i jej rodzinę czekały chude lata. Wedle dewizy wszystkie ręce na pokład, w pracę w kopalni zaangażowała się cała rodzina, łącznie z córkami - Martą i Małgorzatą. Każda złotówka zysku była wpłacana do banku. Oddech przyszedł dopiero wiele lat później, kiedy udało się spłacić olbrzymi kredyt, a kreatywność właścicielki Kopalni Złota w Złotym Stoku zadziwiła Polskę i Europę. Elżbieta jest laureatką European Heritage Awards i Europa Nostra Awards za przekształcenie upadłej kopalni w atrakcję turystyczną z poszanowaniem dziedzictwa dawnego górnictwa. Jest kobietą roku Forbesa 2022 oraz jednym z największych pracodawców w Kotlinie Kłodzkiej. Kopalnię Złota odwiedza dziś 200 000 turystów rocznie. Zalicza się do 100 najbardziej wpływowych osób w polskiej turystyce, a kopalnia złota otrzymała tytuł atrakcji turystycznej National Geographic.

O sukcesie zdecydowały nie tyle wielkie inwestycje, co pomysłowość rodziny Szumskich, wynajdywanie dobrych rozwiązań i dostosowywanie ich do lokalnych warunków. Elżbieta pojawiła się nawet incognito w Złotorzy, aby podejrzeć tutejszy korowód historyczny roz-

poczynający Mistrzostwa w Płukaniu Złota. Przez wiele lat dwa złote miasta oglądały się na siebie - nic dziwnego, że przyszedł czas, aby wspólnie zatroszczyć się o promocję. 13 maja tego roku Elżbieta odwiedziła Kopalnię Złota Aurelia w Złotorzy. Wtedy zachwyciły ją nacieki w odcieniach ochry, a sztolnię - choć liczącą zaledwie 180 m długości - uznała za obiekt turystyczny z dużym potencjałem. Dzięki instruktażowi przedstawiceli Polskiego Bractwa Kopaczy Złota przekonała się o przewadze złotoryjskich miasek do płukania złota i wypłukała najprawdźsiwszą drobinkę złota. Tego dnia Elżbieta Szumska została przyjęta jako członek honorowy w szeregi Bractwa. Nie mogło jej zatem zabraknąć podczas uroczystości inauguracji w XXIX Międzynarodowych Otwartych Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota. Wraz ze starszą Polskiego Bractwa Kopaczy Złota - wzięła w historycznym korowodzie, który 26 maja przeszedł ulicami Złotorzy, a zakończył się podpisaniem paktu o wzajemnej promocji turystycznej Złotorzy i Złotego Stoku. To moment przełomowy i historyczny - w tym roku obchodzimy 30 rocznicę założenia Bractwa. Pierwsza Unia Złotych Miast, w której wzięły udział także Złote Hory z Gór Opawskich została zawarta w 1995 roku. Wiele czynników - w tym inna rzeczywistość polityczna, gospodarcza i personalna połowy lat 90. - sprawiły, że Unia w tym kształcie nie zafunkcjonowała na arenie turystycznej. Tym bardziej, że w tamtym czasie, to działania samego Bractwa miały charakter prekursorski na tle polskiej turystyki i ścigały na Złotorję oczy ogólnokrajowych mediów.

O pionierskie czasy Kopalni Złota w Złotym Stoku, o wzajemne inspiracje, o przepis na sukces Krajin Wygastych Wulkanów i wreszcie o możliwości podjęcia wspólnych działań promocyjnych zapytałyśmy Elżbietę Szumską na antenie niezależnej rozgłośni Radio Zamek Nadaje.

K.S. Ten czas, kiedy pojawił się pomysł, żeby kopalnia stała się atrakcją turystyczną to był chyba trudny okres dla Złotego Stoku? Miejscowość nie była wtedy centrum turystycznym, nie była miejscem, gdzie turyści chętnie by przyjeżdżali. To był chyba moment "być albo nie być"?

E.Sz. Dokładnie tak. Złoty Stok nie był rozpoznawalny turystycznie. W 96 roku po raz pierwszy pojechałam na targi turystyczne do Gdańska. Jak opowiadałam tam, że reprezentuję kopalnię złota, no to właśnie wszyscy mówili "Złotorija!". Złotorija była rozpoznawalną miejscowością. Płukanie złota, to w jakiś sposób rozślawiło to miejsce, nato-

miast o Złotym Stoku to ... "A gdzie to jest?". Trzeba było czasu, żeby Złoty Stok znalazł się na mapie atrakcji Polski, Dolnego Śląska. Udało mi się to w ciągu 10 lat mocnej, intensywnej pracy, reklamowania na każdym szczeblu, na różnych płaszczynach, nie tylko atrakcji turystycznych, ale też jako baza noclegowa, gastronomiczna. Tak, jak mówiłam - trzeba cały czas tupać, trzeba cały czas informować o takim miejscu. Moim marzeniem było przeskoczenie, jeżeli chodzi o odwiedzalność Jaskini Niedźwiedziej, czy Twierdzy w Kłodzku, która miała 100 000 odwiedzających rocznie na tamten czas. To było moje marzenie. Boże, żeby mieć te 100 000 odwiedzających... I po 10 latach udało mi się osiągnąć tę liczbę turystów. A na dziś nawet podwoić. Więc naprawdę nie ma rzeczy niemożliwych, jeżeli się do tego podejrze z sercem i z pomysłem.

K.I. Jakie atrakcje dzisiaj składają się na kompleks Kopalni Złota? Jest Sztolnia



Gertruda z kolejką i... co dalej?

E.Sz. Tak, to jest ta główna atrakcja. Kopalnia Złota z jedynym w Polsce podziemnym wodospadem i wyjazdem kolejką, z osi czasu, no i z duchem Gertrudy - hologramem, który wprowadziliśmy. I to jest główna nasza atrakcja. Ale co roku wprowadzamy coś nowego, bo naprawdę jest ważne, żeby nie stać w miejscu. Jak się stoi w miejscu, to się cofa. Więc od pierwszego mojego roku zarządzania kopalnią, co roku wprowadzamy nową atrakcję. Różne to są atrakcje - wielkie, wielkonakładowe, a czasami drobiazgi, ale za każdym razem jest

coś, na co turysta mówi "O! Tego nie było w tamtym roku!". W 2017 roku wprowadziliśmy Sztolnię Ochrową. Bardzo podobną zresztą do Sztolni Aurelia w Złotorzy. Ochrowa to najstarsza sztolnia, na końcu której bije źródło wody mineralnej. Robi furorę, tysiące osób w długi weekend majowy odwiedziło tą naszą malutką 130-metrowej długości sztolnię, więc to też dla mnie jest niesamowite, że kopalnia złota u nas tak długo funkcjonuje, a tu nagle tak niedawno odkryta, niedawno odkopana ... -

K.I. A to jest odkryta przez Was sztolnia?

E. Sz. Tak, ona jest przez nas odkryta, na mapach, starych przewodnikach znaleźliśmy informację, że na danym terenie, gdzieś, mniej więcej w tej okolicy znajduje się pradawna sztolnia, na końcu której bije źródło wody mineralnej. Złoty Stok w 1914 roku miał zostać miastem uzdrowiskowym - Reichenstein Bad - więc było już pozwolenie Ministerstwa Rolnictwa na to, że Złoty Stok będzie miastem uzdrowiskowym. Powstała już nawet dzielnica willowa. Kolej została przystosowana do przyjazdu do Złotego Stoku z Kamieńca Żabkowickiego. Wszystko było przygotowane, tylko wybuchła I wojna światowa. Zapomniano o tym, że względu na sytuację w Europie. Do tematu powrócono w 1936 roku. Przygotowano, odkopano sztolnię i ... wybuchła II wojna światowa, więc nie ukrywam, że jak ją odkopywałam ...

K.I. Tak to ryzykowne, bo coś co zdarzyło się raz, na pewno nie zdarzy się drugi raz, a jeśli zdarzyło się dwa razy, to trzeci jest prawdopodobny, takie stare arabskie przysłowia.... Ale w kompleksie jest także średniowieczna osada rzemieios?

E.Sz. Fenomenalne miejsce! Jeszcze niedoceniane przez turystów, bo jak ktoś jedzie do kopalni złota i dowiaduje się na miejscu, że jeszcze dodatkowo jest średniowieczna osada górnicza - jedyna taka osada w Europie, to jest zaskoczony. Nie ma drugiego takiego miejsca, żeby było tak wiele urządzeń górniczych średniowiecznych zrekonstruowanych w skali 1:1, interaktywnych. Są pojedyncze, jest np. młyn stemporowy, jest wiatrak, ale nie ma całej tej wioski, wszystkich tych urządzeń. Nam to się udało zrobić dzięki Arkowi, niesamowitemu człowiekowi. Ja go nazywam Leonardo Da Vinci. Człowiek, który patrzył na rysunki Leonarda Da Vinci rozumiał je i odtwarzał. Nawet wyłapywał - "O!" - mówi - "Leonardo tutaj wprowadził błąd specjalnie!". Zasyfrowane były na przykład niektóre rysunki. Mamy czołg Leonarda Da Vinci, który jeździ, a na rysunkach ten czołg był za-

syfrowany. Gdyby zrobić go tak, jak jest na rysunkach, to by nie jeździł. Arek to odkrył, wiedział, że trzeba jakąś dźwignię delikatnie przerzucić i jeździ.

K.I. Do tego jest jeszcze muzeum. Kopalnia w Złotym Stoku jawi się więc jako potężny konglomerat turystyczny. Wydaje mi się więc, że jesteś właściwą osobą, budującą ten sukces od zera, żeby zadać pytanie, czy Ty nas, jako Krajin Wygastych Wulkanów dostrzegasz już przynajmniej w skali dolnośląskiej turystyki?

E. Sz. Sama nazwa jest inspirująca niesamowicie. Zwraca uwagę, nie można przejść obojętnie obok tego hasła, także szacunek za ten pomysł, bo to jest takie podniesienie wielkiego potencjału, ale turystyka jest bardzo wymagająca, bo to tak jak w gastronomii, nie można czegoś zrobić albo-albo. Albo ma się dobre jedzenie, albo się nie nadaje do jedzenia. Turystyka jest jeszcze bardziej wymagająca niż gastronomia, bo turysta przyjeżdża, żeby wypocząć, przeżyć emocje, dobrze zjeść, zakupić pamiątkę. To są takie podstawowe elementy, które zawsze brałam pod uwagę. Jeśli te warunki spełnię i turysta będzie zadowolony wyjeżdżając ode mnie, to znaczy, że jest dobrze. Więc turysta wymaga - on musi mieć parking, musi mieć toaletę, to wszystko musi zagrać. U nas w Kotlinie Kłodzkiej działa Turystyczna Trzynastka - wspieramy się i pomagamy, polecamy się. Jeżeli Kraina Wygastych Wulkanów robi to samo, czyli wspieracie siebie, promujecie, to jest to dobra praktyka. A widziałam dzisiaj, że jest duża promocja rękodzieła - w obiekcie gastronomicznym (Młyn Wielisław) można kupić wyroby rękodzielniców. Te wioski, przez które dziś przejeżdżaliśmy są przeurocze, są klimatyczne. W każdej miejscowości coś się dzieje. W każdej miejscowości jakiś tajemniczy obiekt, jakiś wspaniały zamek, pałac. Potencjał jest niesamowity.

I z tym optymistycznym przesłaniem przystępujemy do wdrażania nowych pomysłów na wspólną promocję Złotych Miast. W witrynie Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej przy ulicy Świdnickiej, najruchliwszej ulicy Wrocławia, zobaczycie wspólną witrynę Złotych Miast Dolnego Śląska - Złotorzy i Kopalni Złota w Złotym Stoku.

Już 24 czerwca podczas turystycznego otwarcia wakacji promowaliśmy Złotorię razem z Kopalnią Złota w Złotym Stoku i Polskim Bractwem Kopaczy Złota. A o kolejnych pomysłach i realizacjach usłyszycie już wkrótce.

*Katarzyna Sielicka
i Katarzyna Iwińska*



Nie mogę żyć bez teatru

Nie wszystko, co do tej pory robiłam w zakresie teatru, miało należyć do poziomu artystycznego. Po prostu nie znalazłam „znaków teatru”. Studia reżyserii były sprawdzianem możliwości i talentów, o których nie miałam pojęcia, że we mnie drzemią. [Ze wspomnień Jolanty Zarębskiej]

„A niech to Gęś kopnie”

Gęś (Maja Kondys) jest brzydka, chuda i nieszczęśliwa, nie ma przyjaciół. Wyrwa sobie boleśnie pióra, aby zapisywać swoje utwory, ponieważ jest poetką. Cierpi na depresję i poszukuje sensu życia. Gdy w kurniku pojawia się Lis (Jarosław Jańta), proponuje, aby ten zjadł ją na kolację zamiast kur. Skoro nie widzi sensu swojego życia, to lepiej umrzeć,

prawda? Sympatyczny Lis nie ma ochoty na chudą Gęś i postanawia przekazać ją swojemu przyjacielowi Wilkowi (Maciej Krzywaźnia). I tak zaczynają wędrówkę po lesie do siedziby Wilka, poszukując sensów życia, aby na koniec znaleźć szczęście oraz przyjaźń. A może nawet miłość?

Tekst Marty Guśniowskiej to forma kryminału połączona z komedią romantyczną, toczy się w szalonym tempie. Atutem sztuki jest humor językowy i wiele gier słownych.

Przybyła na spektakl publiczność ujrzała na scenie wspa-

niałą scenografię w postaci zielonych żywych drzew i zarośli, a wśród nich... lodówkę, która później odegrała swoją rolę. W kulminacyjnym – mrocznym – momencie scenę wypełniła mgła, jak w porządnym horrorze. Premiera najnowszej sztuki **Teatru Trzech Pokoleń** „A niech to Gęś kopnie” zdobyła ogromny aplauz i entuzjazm widowni, skąd na przemian dało się słyszeć to wybuchy śmiechu, to pełną zadumy ciszę. Sala widowiskowa w Złotoryjskim Ośrodku Kultury była wypełniona po brzezi publicznością w różnym wieku, taką właśnie trzech pokoleń. Dykcja aktorów okazała się bez zarzutu i nie było żadnych wpadek, można więc zapomnieć,

że to teatr amatorski.

Scenografię do „Gęsi” wymyślił Zbigniew Gruszczyński, dyrektor ZOK-u.

– Koniec mi z tymi obrazkami rzuconymi na ekran! Ja chcę, żeby teatr był prawdziwy!

– Ciekawe jak pan załatwi, żeby lodówka stała w lesie – zapytała nieco zgryźliwie reżyserka i płakać jej się chciało, bo ona wolała symbole, a nie taki dziewiętnastowieczny teatr.

– A załatwię tę lodówkę! Choćby nie wiem co, załatwię! Las też załatwię!

No i załatwił. A oprócz tego była prawdziwa woda. Gęś taplała się w niej na scenie i przed widzami pokazała się potem mokra aktorka. Tym Maja Kondys pokazała swój talent, ponieważ niewielką ilością wody w misce (schowanej przed widzami), która udawała staw, potrafiła się ochlapać od stóp do głowy.

– Maja Kondys z Jarkiem Jańtą to świetny duet, tak ciągnie w górę aktorstwo, że po prostu siedzę rozanielona – cieszy się reżyserka Jolanta Zarębska. – A Maja Kondys jest tak utalentowaną aktorką, że niewielką ilością wody potrafiła się ochlapać calusieńka.

Brytfannę wymyślił Zenek Rzeszut. Początkowo miała być symboliczna, na dwóch krzesłach, no ale przecież Wilk nie mógł piec Gęsi na krzesłach! Z brytfanny ostatecznie wyszła blaszka do pieczenia.

– Przecież to wszystko jedno – powiedział Zenek dumny ze swojej roboty. – Przecież Gęś i tak ma zostać upieczona. Jeszcze dymiarke załatwię, żeby robiła mgłę w lesie. Podniesie to nastrój grozy. O sztuce tak mówi reżyserka:

– Sztuka „A niech to Gęś kopnie” została ukochana od razu przez wszystkich aktorów, co zdarza się niezwykle rzadko. Aktorzy w pełni rozumieją tekst i

przesłanie, ja to widzę po nich podczas prób. Poza tym wymagam, aby każdy aktor umiał opowiedzieć o swojej postaci.

Po premierze pani Jolanta napisała maila do dyrektora Zbigniewa Gruszczyńskiego z przeprosinami. Bije się w pierś i przyznaje mu rację, bo ta realistyczna dziewiętnastowieczna scenografia wyszła po prostu świetnie, została zaakceptowana przez aktorów i spodobała się publiczności.

Nie widzę przeszkód

– Miałaby pani ochotę poprowadzić teatr miejski? Taki z prawdziwą sceną, światłami, kulisami i tym podobne? Przydałby się nam taki w Złotoryi – te słowa skierował do Jolanty Zarębskiej w 2015 roku burmistrz Robert Pawłowski.

– Bardzo chętnie.

– No to nie widzę przeszkód – podsumował z zadowoleniem burmistrz.

Przez kilka miesięcy z pozoru nic się nie działo, lecz w głowie pani Jolanty trwała wyteżona praca myślowa, bowiem do tej propozycji podeszła poważnie. A gdy dodatkowo usłyszała od dyrektora ZOK-u, że ma to być wyjątkowy teatr, inny niż wszystkie, już wiedziała, co będzie robić. To ma być teatr trzech pokoleń, jakiego nie ma w całej Polsce. Będą wyjątkowi!

Jolanta Zarębska jest polonistką, reżyserką teatralną oraz scenografką. Uczy też emisji głosu i poprawnej dykcji. Już jako dziecko grała w teatrzyku szkolnym. Będąc uczennicą liceum w latach 1974-78 z grupą uczniów organizowała teatrzyk kabaretowy, a swoje spektakle grali przed licealną społecznością. Gdy po maturze nie dostała się na studia, przez rok prowadziła zajęcia teatralne dla dzieci w ośrodku kultury. Potem, jako nauczycielka w Wilkowie, też miała swoją grupę teatralną. Po podjęciu pra-

cy w złotoryjskim liceum od razu wprowadziła w swojej klasie wyjazdy do teatru. Przez cztery lata obejrzeni jedenaście spektakli we wrocławskim teatrze. Po ukończeniu przez nią studiów reżyserkich szkolny teatr liceum nazwali teatrem Mimo Wszystko. Bo zawsze marzył jej się prawdziwy teatr, taki ze sceną, kulisami i światłami.

– Ja po prostu nie mogę żyć bez teatru – wyznaje pani Jolanta.

Jednak najpiękniejszą przygodą w jej życiu były dwuletnie podyplomowe studia reżyserskie w latach 2002 - 2004. Oto jak pisze o tym w swoich wspomnieniach:

Była to wielka edukacyjna przygoda. Czy to były trudne studia? Tak. Wymagano od nas wysokiego poziomu działań, szlusznie zakładając bazowy poziom naszej erudycji, wszak wszyscy mieliśmy dyplomy wyższych uczelni. Dlaczego nie było łatwo? Nie wszystko, co do tej pory robiłam w zakresie teatru, miało należeć do poziomu artystycznego. Po prostu nie znalazłam „znaków teatru”. Teraz dzięki tym studiom mam świadomość poziomu artystycznego przedstawień. Jestem w stanie oceniać i omawiać najtrudniejsze przedstawienia teatralne. Studia były sprawdzianem możliwości i talentów, o których nie miałam pojęcia, że we mnie drzemią.

Ruszyli z kopyta

Już jesienią 2015 roku ZOK wziął na siebie reklamę teatru w sieci. Na pierwsze spotkanie z początkiem 2016 roku przyszło około dwudziestu osób. Pani Jolanta była jednocześnie zachwycona i przerażona. Nabór odbywał się przez casting i tak jest do tej pory. Kandydaci na aktorów mieli się zaprezentować jakimś tekstem, wierszem lub prozą.

– Podczas przesłuchań robiłam sobie notatki – wspomina reżyserka. – Na przy-

kład tu popracować nad emisją głosu, u kogoś innego wyciąć wszelkie przesadne „ę” i poprawić inne usterki. W ten sposób już planowałam najbliższe zajęcia. Próby do pierwszej sztuki rozpoczęły się zimą 2016 roku, a pierwsze przedstawienie pokazaliśmy w maju.



Zenon Rzeszut



Jarosław Jańta

Już w pierwszym roku działalności dostali zaproszenie do udziału w Festiwalu Teatralnym w Krakowie. Szybko wysłali nagranie demo, o jakie poproszono. Odpowiedź długo nie przychodziła. Pewnego dnia, gdy Ewa Siwik, pracownica ZOK-u zapewniająca obsługę sprzętu na przedstawieniach, przysłała na kolejną próbę, pani Jolanta zapytała ze smutkiem w głosie:

– No i co, nie spodobał się w tym Krakowie?

– Och, zapomniałam powiedzieć. Zakwalifikowali was, jedziecie do Krakowa!

„Ona nie chce spać” – pierwszy spektakl Teatru Trzech Pokoleń, 2016 r. Od lewej: Maria Gawlik, Anna Kopińska, Nikola Bober, Jagoda Doskocz, Marta Markowska. Leżą: Igor Widomski, Franciszek Doskocz, Kacper Borawski.



„A niech to Gęś kopnie”, 2023 r. Od lewej: Zenon Rzeszut – Niedźwiedź, Maja Kondys – Gęś, Jarosław Jańta – Lis



„A niech to Gęś kopnie”, 2023 r. Od lewej: Jolanta Zarębska – Marchewka, Konrad Józwiak – Narrator, Maciej Krzywaźnia – Wilk



„A niech to Gęś kopnie”, 2023 r. Od lewej: Mateusz Madeja – Wydr, Konrad Józwiak – Narrator, Olaf Piwowarczyk – Kogut, Zenon Rzeszut – Niedźwiedź, Jarosław Jańta – Lis, Maja Kondys – Gęś, Adrianna Węgierek, Hanna Misaczek, Marcelina Cieśla (Mama Zajęczków), Julia Panasiuk – Zajęczki.





Maja Kondys



Maciej Krzywaźnia



Sarah Kowalczyk



Marcelina Cieśla



Julia Panasiuk

wa!

To był 22 października 2016 roku, pierwszy rok działalności. Ruszyli z kopyta. Na VII Ogólnopolskim Festiwalu Teatralnym w Scenie „i” w Krakowie dostali olbrzymie brawa za sztukę „Ona nie chce spać”. Nie zajęli żadnego miejsca, ale to nie znaczy, że zagrali źle. Po prostu inni byli lepsi. Do festiwalu przyszło ponad 100 zgłoszeń, a wytypowano tylko 15. W tej piętnastce był właśnie Teatr Trzech Pokoleń, dopiero raczkujący. Przeszli przez gęste sito i już to było ogromnym osiągnięciem.

Przygotowanie przedstawień

Minusy Teatru Trzech Pokoleń to konieczność uwzględnienia podczas prób wieku artystów i odpowiednie do nich podejście. Z kolei pozytywy to integracja międzypokoleniowa, starsi zarażają się od młodych energią i pomysłami, a młodzi uczą się szacunku dla starszych. Do zajęć zawsze najlepiej są przygotowani starsi i tym właśnie dają przykład młodym. Najmłodszym aktorem jest Olaf Piwowarczyk, właśnie zdał do drugiej klasy. Na próbach jest bardzo przejęty, przyciska do piersi scenariusz, uwielbia zajęcia i bardzo się stara. Najstarszy to Zenon Rzeszut, ma 76 lat.

– Praca z ludźmi w tak różnym wieku jest trudna, ale ja lubię wyzwania, to bardzo ciekawe. Poza tym na występy naszego teatru przychodzą całe wielopokoleniowe rodziny, znajomi młodzi i starsi. Mamy zawsze pełną widownię – zapewnia reżyserka.

W takim teatrze co roku odchodzi jakaś część artystów, bo kończą szkoły i przenoszą się gdzie indziej. Wtedy trzeba uzupełniać szeregi. Gdy przychodzi młodzież na castingi, to od kilku pierwszych chwil i wypowiedzianych zdań pani Jola orientuje się, czy będzie z danej osoby artysta teatralny, czy nie. Widać to po postawie na scenie, po emisji głosu. Doskonale wie, czy to jest materiał na douczenie, czy da się coś zrobić z głosem i z dykcją. Bywa, że w trakcie roku ktoś odchodzi. Da się ich zastąpić tylko czasami. Na przykład w 2022 roku odeszła Ania Kopińska,

która знаła całe sztuki na pamięć, a na próbach była w stanie zastąpić każdego. W tym czasie odeszło jeszcze kilka innych osób, bardzo dobrych aktorów. To była ogromna strata. Odejścia artystów to najtrudniejsze w pracy teatru.

Przygotowanie nowego przedstawienia trwa około pół roku. Od początku działalności Teatr Trzech Pokoleń wystawił siedemnaście spektakli, z których pierwszy to była baśń Jerzego Harasymowicza „Ona nie chce spać”, a ostatnim „A niech to Gęś kopnie” (wystawiony 28 maja 2023 roku).

Teatr Trzech Pokoleń działa już osiem lat, wkrótce stuknie mu sędziwa dziesiątka. Z roku na rok przedstawienia są coraz lepsze. Należy mieć nadzieję, że tak pozostanie.

– Jestem już w określonym wieku, mimo to zamierzam ciągnąć swoją przygodę z teatrem w ZOK-u. Bo przecież nie mogę żyć bez teatru – podsumowuje reżyserka, scenarzystka i nauczycielka, Jolanta Zarębska.

„A niech to Gęś kopnie” – obsada

Jarosław Jańta, ok. 53 lata – LIS Jestem w teatrze od samego początku, od 2016 roku. W „Gęsi” gram jedną z głównych ról, to jest trudne, cały czas jestem na scenie i nie mam czasu na odpocznik. Podczas nauki roli najtrudniejsze dla mnie jest połączenie roli mówionej z mową ciała, gestami na scenie. Od dziecka lubiłem rozmieszać ludzi, lubię być w centrum uwagi. Przez osiem lat w każdą środę, z przerwą wakacyjną, przychodzę na próby. A teraz przepraszam, ale muszę lecieć na zumbę. Na razie!

Zenon Rzeszut, 76 lat – NIEDŹWIEDŹ W teatrze jestem od samego początku. Jeśli chodzi o przyswajanie roli, to muszę ćwiczyć, a na scenie nie mam tremy. Z mojego pokolenia jest tylko parę osób, a z młodymi ludźmi pracuje się bardzo dobrze. Moi znajomi cieszą się, gdy słyszą, że gram w teatrze. Na przedstawienia też przychodzą, a jakże, wtedy zbieram pochwały. Mam już wnuki, ponad dwudziestoletnie, którzy mówią: „Fajnie grałeś, dziadku”. Granie na scenie to ogromna satysfakcja. Do przedstawień przygotowuję różne prace techniczne. Jestem na emeryturze, to co mam robić, tak? Ostatnio zrobiłem statek, brytanę i staw dla Gęsi.

Maja Kondys, 16 lat – GĘŚ Jestem w teatrze od początku. Miałam 8 lat, przeprowadziła mnie starsza siostra. Nie wiedziałam, że muszę zdać egzamin. Potem miałam przerwę dwa lata, ale wróciłam, bo zatęskniłam. Pani reżyserka na próbach udziela nam uwag, ale w sposób naturalny. Atmosfera w zespole jest swobodna, można się dogadać ze wszystkimi, dobrze się tu pracuje. W byciu aktorką podoba mi się to, że mogę się pokazać z innej strony, coś jakbym była inną osobą, wtedy obserwuję siebie z zewnątrz. Roli prawie się w domu nie uczę, tylko głównie w czasie prób, a niektórych kwestii uczę się po drodze, podczas dojazdu do szkoły. Mam plany aktorskie na przyszłość, chociaż wiem, że to nie będzie łatwe.

Maciej Krzywaźnia, 16 lat – WILK Zły Wilk? Nie, on wcale nie chciał zjeść Gęsi, wręcz przeciwnie, chciał ją uratować, wszak miał plan. Jakoś nieuważnie oglądała pani sztukę. Najtrudniejsze dla mnie jest to, aby zsynchronizować moją rolę z pozostałymi aktorami. Na początku byłem trochę sceptyczny co do mojej pracy w teatrze, musiałem się zastanowić, czy na pewno chcę to robić. Dopiero gdy wystawiliśmy „Dziób w dziób”, doszedłem do wniosku, że to jest moje miejsce. A gdy kończymy próby i wystawiamy sztukę, to jestem dumny, że coś osiągnąłem. Nauka roli nie jest trudna, bo są częste powtórzenia podczas prób.

Sarah Kowalczyk, 16 lat – KURA Gdy w swojej szkole w Legnicy chciałam się zapisać do kółka teatralnego, to od Maćka, z którym jestem w tej samej klasie, dowiedziałam się, że w Złotoryi jest teatr i szukają tam ludzi. Przyszłam z końcem października ubiegłego roku. Cieszę się, że tak wyszło i raczej tu zostanę. Moja rola jest niewielka, to epizod. Z przyswajaniem roli nie mam problemu, bo od małego mama pchała mnie na różne konkursy recytatorskie i miałam do czynienia z uczeniem się tekstów na pamięć. Swoich ról uczę się podczas prób, a w domu proszę mamę, żeby weszła w jakąś rolę i w ten sposób mogę ćwiczyć swoje kwestie.

Marcelina Cieśla, 12 lat – MAMA ZAJĄCZKÓW Mieszkam w Krotoszycach i tam też chodzę do szkoły. Od ósmego roku życia uczęszczałam na zajęcia w teatrze w legnickim MCK-u. Zawsze mi mówiono, że umiem udawać innych ludzi i że ich robawiam. Pan Jarek pracuje w jednej firmie z moją mamą. Powiedział jej, że potrzebują aktorów do spektaklu w Teatrze Trzech Pokoleń. Moja rola



i scena są kluczowe. Raz muszę krzyknąć na inne osoby, a za chwilę być miła. To było dla mnie trudne. W naszym teatrze jest swobodna atmosfera, jesteśmy ze sobą zżyci. Jestem tu dwa lata, a wydaje mi się to, że pani Jola wymaga od nas dobrej dykcji i emisji głosu. Zgubiłam swój scenariusz i się do tego nie przyznałam, więc swojej roli musiałam uczyć się wyłącznie podczas prób. Scenariusz znalazł się po próbie generalnej, nie był mi już potrzebny. Pani Jolu, przepraszam za to.

Julia Panasiuk, Adrianna Węgierek, Hanna Misaczek, 10 lat – ZAJĄCZKI Wszystkie jesteśmy w tej samej klasie. O teatrze dowiedzieliśmy się od naszych mam, które stwierdziły, że praca w teatrze to dobry pomysł. Ada: Zajączki w sztuce hasają i biegają, to jest fajne. Julia: nie chodziłyśmy gęsiego, tylko biegałyśmy i potykałyśmy się o różne rzeczy. Hania: my w tej roli właściwie bawiliśmy się.

Olaf Piwowarczyk, 8 lat – KOGUT Przeprowadziła mnie mamusia, wiedziałem, że będę grał w teatrze. Podoba mi się rola KOGUTA. Moja rola nie jest długa i nie mam z nią problemów.

Konrad Jóźwiak, 18 lat – NARRATOR W październiku 2017 podszedłem do pani Joli i powiedziałem, że chcę być w tym teatrze. I co usłyszałem? „Wiesz, gdybyś był dziewczyną, to bym się nie zgodził, bo mamy za dużo dziewcząt”. Ale i tak musiałem zdać egzamin. Polegało to na tym, że musiałem na scenie wygłosić tekst. Wybrałem „Redutę Ordona”. Ona właściwie mi zbrzydła, bo powtarzałem ten wiersz przez kilka lat podstawówki, na wszystkich apelach, ale za to nie musiałem niczego się uczyć dodatkowo. Zostałem przyjęty. Moja postać miała być trochę agresywna, NARRATOR krzyczy na wszystkich, łatwo go wyprowadzić z równowagi. Ja tekst zapamiętuję podczas prób. Lubię przebywać w towarzystwie innych aktorów, którzy akceptują mnie, a ja ich. Mogę z nimi porozmawiać na różne tematy. Nic więcej konkretnego nie mam do dodania.

Michał Gładkojć, 19 lat – OPERATOR TECHNICZNY O tym, że teatr potrzebuje operatora technicznego, dowiedziałem się od kolegi. Mimo że nie jestem aktorem, to czuję się częścią zespołu. Bywam też suflerem. Jak tak sobie siedzę na dole i słucham prób, to zauważam, że aktorzy robią postępy i doskonalą swoją grę.

 **Agnieszka Młyńczak**
 **archiwa prywatne**



Adrianna Węgierek



Hanna Misaczek



Olaf Piwowarczyk



Konrad Jóźwiak



Michał Gładkojć



Przenicowany świat

Ta opowieść nie jest prawdziwa. Ale kto nam zagwarantuje to, że się nie wydarzy?

Pewnego razu wracałem sobie ze znanego lokalu zwanego jeszcze przez niektórych „grzybkiem”. Dopelniałem tam tradycji, która od lat nakazuje, że po ciężkiej pracy należy się „kusztyczek” albo dwa. Pogwizdując z zadowolenia i ciesząc się życiem oraz jego tradycjami, spostrzegłem zapłakaną panią Rozalię, stojącą przed kamienicą, w której mieszkała.

– Pani Rozalko! - wołam do niej z daleka – Życie jest zbyt piękne, by nad nim płakać.

– Panie Jarosławie – ona na to – Nie wiem pan, co mi się przydarzyło.

– No to co się pani przydarzyło, pani Rozalko? – Pytam więc.

– Niech pan nie pyta. – mówi.

Wyjmuję chusteczkę i ocieram jej tzy. – Pani Rozalko nic nie jest warte tego, żeby wyplakać takie piękne oczka – i uśmiecham się do niej.

– No to niech pan posłucha. Nie dalej jak dwa dni temu wracam sobie do domu, a przed kamienicą stoi ten, no wie pan... ten kolega Mataczyńskiego. – kiwam głową, że wiem – No więc stoi i trzyma wydrukowaną kartkę, a tam moje zdjęcie! I napis: „Czy Pani Rozalia chce wpuścić niebezpieczne zwierzęta do kamienicy?”. Na mój widok krzyczy „Dlaczego

go Pani Rozalia chce zdewastować bezpieczeństwo mieszkańców tej kamienicy?” i patrzy się ponad moją głowę. A ja nie wiem, o co chodzi? Przeciskam się koło niego i rozdygotana wbiegam do klatki. Na parterze miga mi tylko twarz pani Helenki, która szybko chowa się do mieszkania. A mnie, panie Jarosławie, jakby serce chciało wyskoczyć z piersi. Z Helenką zawsze jakieś parę słów zamienialiśmy. Ona na tym parterze wszystko widzi i wie, co się dzieje, i zawsze dzieli się ploteczkami. Zwłaszcza ze mną. Wie pan, że ja tu i tam działałam, no i chciałam coś zmienić w tej naszej kamienicy, zwłaszcza teraz po tym, co ten Mataczyński narozrabiał. To wie pan? - kiwam głową, że wiem i robię surową minę. – No właśnie. Wpadłam do mieszkania, rzuciłam zakupy na stół i lecę do Michalinki. To sąsiadka zza ściany. Chyba najbardziej jej ufam. „Co się dzieje?” pytam. Ona patrzy na mnie takim dziwnym wzrokiem, no mówię panu, aż mnie dreszcze przeszły i nogi się pode mną ugięły. No co się stało?! Chciałam krzyknąć, ale taka jakaś słabość mnie wzięła... - Rozalka znowu się rozszlochala, a ja nie wiem jak zareagować, przytuliłbym, pogłaskał po głowie. Całą radość z życia diabli wzięli. Mówię – No tak nie można. Pani Rozalio. Wszystko da się rozwiązać, nie ma takich problemów, których nie można pokonać.

Rozalka trochę się uspakaja, podnosi

na mnie wzrok i mówi – Tak. Ale niech pan to pokona. Michalinka podała mi swój telefon coś tam poklikała i puściła mi filmik, jak jakiś agresywny pies atakuje dziecko, okropne! Ale chyba jeszcze straszniejszy był komentarz pod postem: „Słyszałem, że pani Rozalia chce sobie takiego pieska sprawić. Wszyscy wiemy, że lubi psy i występuje się różnym schroniskom. Tam są psy sfrustrowane, których pozbyli się ich właściciele, pewnie nie bez powodu. Ja nie pozwolę na narażenie mieszkańców naszej kamienicy na takie niebezpieczeństwo!”. No i ja widzę, że filmik i komentarz zamieścił ten xxx Mataczyński!

– No! No! – mówię – Pani Rozalio, tak nie można się wypowiadać. A Rozalka krzyczy – To wszystko było zamieszczone na Tweeterze, a ja nie mam tam konta! Nic nie wiedziałam. Skąd ten pomysł! Przecież ja nie chcę żadnego psa!... To znaczy lubię psy i wszystkie zwierzęta. Pomagam schroniskom. Czy to źle! Przecież ja nie chcę żadnego psa adoptować, przecież pan mnie zna? Zawsze mówiłam, że w kamienicy nie ma warunków do trzymania psów, one muszą się wybiegać, zwłaszcza te duże rasy. – patrzy na mnie błagalnym, bezradnym wzrokiem. – No i co ja mam teraz zrobić? Widziałam polubienia pod postem, to moi sąsiedzi. Wcale się nie ukrywali. Teraz ze mną nie chcą rozmawiać. Chowają się po mieszkaniach, albo jeszcze gorzej, krzyczą za mną: „Nie pozwolimy!”. Nie chcą mnie słuchać. Michalinka, do której mam chyba najwięcej zaufania, powiedziała mi, że prawie połowa mieszkańców wierzy Matuszewskiemu, a reszta nie wierzy albo to ich nie interesuje. ...Tak! Tak! – mówi szybko pani Rozalka, widząc jak podnoszę palec. – Tak. Rozmawiałam z Mataczyńskim, ale on przede wszystkim nie wpuścił mnie do mieszkania i głośno na korytarzu odpowiedział: „Tak! Teraz pani to mówi! Że nie chce wpuszczać do nas niebezpiecznych zwierząt! Jak JA już wszystko załatwiłem. Zrobiłem kampanię społeczną. Pracuję nad głosowaniem we wspólnocie o naszym bezpieczeństwie. Mam już gotowy projekt ‘ZERIBA’ do budżetu obywatelskiego, czyli ogrodzenie naszej kamienicy... Co mam odkręcać!?!”.

Spojrzałem na panią Rozalię szeroko otwartymi oczami, poklepałem ją po ramieniu, uśmiechnąłem się blade, zawróciłem i poszedłem z powrotem do lokalu zwanego jeszcze przez niektórych „grzybkiem”.

Jarosław "Szwejk" Jańta



Gdzie było Piekietko, a gdzie Oaza? Czym był Czerwony Parasol? Kto wszedł przez okno na dancing do Hotelowej, a kto miał osiemnastkę w Calypso? Jakie piwo lali Pod Batem? Gdzie stały "grzędy"? Gdzie była restauracja Dolna, a gdzie Górna? Dlaczego w aktach ubecji znalazły się Wzorcowca i Adria? Kto bawił się na weselu w Akwarium? Na te pytania szukaliśmy odpowiedzi podczas kolejnego spaceru złotoryjskiego. Tym razem szlakiem złotoryjskich restauracji i barów prowadził nas Mariusz Stalski, ale wspomagali go swoją wiedzą i wspomnieniami uczestnicy spotkania, które zaczęło się od „sety”, prawdziwej orszady i koreczków w legendarnej Wzorcowej.

O Spacerach Złotoryjskich już kilkakrotnie pisałam. Jestem ich fanką i wierną oraz stałą uczestniczką. Doceniam inicjatywę Natalii Widomskiej i Katarzyny Iwińskiej, Sylwii Dudek-Kokot, doceniam również ich kreatywność w szukaniu kolejnych tematów dla wędrowania

ulicami miasta lub pobliskiej mu okolicy. Temat złotoryjskich nieistniejących już restauracji jest mi bliski, bo kilka lat



temu wraz ze szkolną młodzieżą próbowaliśmy stworzyć monografię tych miejsc. Jednak nasza wiedza i możliwości były dość ograniczone. Powsta-

ła wówczas mała broszura wydana własnym sumptem, która gdzieś zniknęła w odmętach czasu. Teraz w porozumieniu z Mariuszem Stalskim oraz inicjatorkami Spacerów chciałabym wrócić do tego tematu i przy pomocy czytelników Echa poszerzyć informację o lokalnych punktach gastronomicznych. Listę lokali mamy. Brakuje nam zdjęć i wspomnień bywalców tych restauracji i barów. Dlatego z tego miejsca ślę apel do czytelników, aby wspomogli nas informacjami i materiałami, które ułatwiłyby stworzenie publikacji - na razie na łamach Echa, ale jak się uda, powstałaby mała książeczka.

Jeśli ktoś chce podzielić się wiedzą, niechaj przyśle swoje wspomnienia lub zdjęcia na adres echozlotoryi@tmzz.pl a będziemy wdzięczni do zgonnie ☺

I oczywiście zapraszam w imieniu organizatorów na kolejne wędrowki ulicami miasta.

Iwona Pawłowska





Musimy jednak pamiętać o jednym: opór zbrojny i walka orężna wobec najeźdźcy nie były narzucone społeczeństwu przez jakiś rozkaz z góry. Ta decyzja została podjęta przez cały naród samorzutnie, nie w sierpniu '44 roku, ale już we wrześniu '39. Tadeusz Bór-Komorowski

Każdego roku 1 sierpnia o godzinie 17:00 cała Polska staje w bezruchu. Zatracamy się w rozważaniach, pielęgnujemy wspomnienia przodków i honorujemy tych, którzy z wielką odwagą i honorem wyszli na ulice Warszawy, by walczyć o wolność naszej ojczyzny. Wydaje mi się, że rocznica Powstania Warszawskiego nie jest już uroczystością ograniczoną do stolicy, ale z roku na rok przybiera charakter ogólnonarodowy. Przy każdej rocznicy wybuchu Powstania uruchamia się dyskusja na temat zrywu Warszawy, jest ona bardzo emocjonalna i niekiedy zawsze oparta na merytorycznych argumentach. Ale to bardzo dobrze, że trwa. Dzięki temu to wydarzenie jest nadal obecne. Skłania nas wszystkich do refleksji i wyciągania wniosków.

Ciekawie wypowiedział się na ten temat w 1994 roku Roman Bratny, autor słynnej książki o Powstaniu „Kolumbowie rocznik 20”. Stwierdził: „Im głębiej wchodzę we współczesność, tym wyraźniej widzę zaprzeczenie tych wartości, o które walczyła moja młodość. Bardziej nawet teraz niż w okresie komunizmu. Kiedy stosowano wobec nas bydlęce formy terroru, mieliśmy za sobą racje moralne, dostrzegano naszą wolę powiedzenia pewnym sprawom nie. Obecnie otacza nas zubożenie i dys-

kretycja. W oczach młodego pokolenia cały nasz czyn i jego motywacje wyglądają na naiwniactwo”. Staram się nie zabierać w tej kwestii głosu, nie śmiem i nie mam takiego prawa. Nie mogę wypowiadać się w imieniu całego Pokolenia, które doznało tyle cierpień ze strony okupanta. Powstanie, uważam, że nawet jeśli zostałyby zabronione i tak wybuchłoby. W młodych ludziach, ale i nie tylko, wrzało przez prawie pięć długich lat. Ludność stolicy była świadkiem makabrycznych rzeczy, które wspólnie nie jesteśmy sobie nawet wyobrazić, zatem jak w tej sytuacji mógłbym powiedzieć, że była to niesłuszna decyzja? Z perspektywy czasu, kiedy wiemy, jak ono się zakończyło jest nam łatwo je ocenić.

O Powstaniu Warszawskim po raz pierwszy usłyszałem będąc w szkole podstawowej, dowiedziałem się o tym na lekcjach historii, ale w domu rodzinnym Babcia również mi o nim opowiadała. Historia Powstania nie była jednak bliska mojemu sercu. Wynikało to zapewne z tego, że nie utożsamiałem się emocjonalnie z Warszawą bo moi przodkowie wywodzili się z Kresów, w stolicy nie miałem ani krewnych ani znajomych, więc po prostu nie czułem tego. Oczywiście zawsze starałem się uczcić ten dzień, chodziłem pod złotoryjski Pomnik Niepodległości czy na cmentarz, na którym są mogiły dwóch Powstańców Warszawskich, czytałem literaturę. Tak pewnie byłoby zawsze, gdyby nie to, że postanowiłem rok temu pojechać na uroczystości rocznicowe do Warszawy. Tam wszystko się zmieniło, tam poczułem, że Powstanie Warszawskie to jedno z najważniejszych wyda-

rzeń w dziejach Polski w XX wieku. I tak jak wyżej wspomniałem, można je odczytywać na trzech płaszczyznach – lokalnej, krajowej i oczywiście międzynarodowej. Po przyjeździe ze stolicy zdecydowałem się zrobić coś z tym co w sercu przywiozłem z Warszawy. Zgłosiłem się na seminarium dla nauczycieli, które przygotowała Fundacja SENSORIA w ramach projektu „BohaterON – włącz historię!”. Jest to ogólnopolska kampania o tematyce historycznej mająca na celu upamiętnienie i uhonorowanie właśnie uczestników Powstania Warszawskiego oraz promocję jakże trudnej historii Polski XX wieku. Projekt ma edukować Polaków, bazując na historiach Powstańców, wzmacniać poczucie tożsamości narodowej, krzewić postawy patriotyczne oraz budować wrażliwość społeczną. Po trzydniowym pobycie w Warszawie, poznałem wspaniałych ludzi zarówno prowadzących jak i uczestników, zapoznałem się z ciekawymi materiałami, które pozwoliły mi urozmaicić zajęcia edukacyjne w mojej pracy zawodowej, ale przede wszystkim poczułem, że chciałem zostać wolontariuszem „BohaterONU”. I stało się.

Nawiązałem kontakt z Agnieszką Łesiuk-Krajewską, która jest Dyrektorem ds. projektów komunikacji w Fundacji Sensoria oraz prezesem Fundacji Pokolenia Kolumbów. Jest pomysłodawczynią ogólnopolskich projektów edukacyjnych i społecznych, takich jak: „BohaterON – włącz historię!”, Nagroda „BohaterONY im. Powstańców Warszawskich”, Rakoobrona czy Lekki Tornister. Prywatnie Agnieszkę znałem ze szkolnego korytarza w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Pawła II. Agnieszka podobnie, jak ja jest jego absolwentką i po 23 latach od zakończenia szkoły postanowiłem się do niej odezwać ☺ Zostałem serdecznie przyjęty przez pomysłodawczynię, jak i jej współpracowników oraz innych wolontariuszy. W ciągu całego roku szkolnego na terenie szkoły przeprowadzałem różnego rodzaju zajęcia, które miały na celu upamiętnić Bohaterów z 1944 roku.

Tymczasem doczekałem końca roku szkolnego, a co za tym idzie, rozpocząłem urlop. Zdecydowałem oczywiście, że 1 sierpnia będę wolontariuszem „BohaterONU” w stolicy podczas obchodów 79. rocznicy wybuchu Powstania. W ramach obchodów rocznicowych związanych z wybuchem Powstania Warszawskiego 27 lipca w Polskiej Agencji Prasowej odbyła się konferencja prasowa, a tym samym ruszyła ósma edycja

Ogólnopolskiej Kampanii „BohaterON – włącz historię!”. - To największa kampania społeczna z zakresu edukacji historycznej - powiedziała Agnieszka Łesiuk-Krajewska - od blisko już dziesięciu lat porusza, łączy, edukuje i pomaga. A w zasadzie to jej zespół i wolontariusze - dodała. W ramach ogólnopolskiej kampanii społeczno-edukacyjnej przyznane zostaną kolejne „BohaterONY” - nagrody dla osób i instytucji w szczególności osób promujących wiedzę o historii Polski oraz współczesny patriotyzm. Celem kampanii jest podziękowanie uczestnikom Powstania Warszawskiego, niesienie pomocy potrzebującym i szerzenie wiedzy na temat tak ważnego dla naszej tożsamości narodowej wydarzenia. Na Konferencji było wielu gości: Warszawscy Powstańcy, politycy, ambasadorki akcji aktorki: Magdalena Górka i Małgorzata Kożuchowska, przedstawiciele mediów, sponsorzy i wiele znakomitości. To jest niebywale imponująca akcja, która edukuje, pomaga i jednocześnie odnosi się do pamięci, wydobywając to, co w naszej historii najważniejsze - powiedział o kampanii „BohaterON - włącz historię” obecny minister kultury Piotr Gliński, przewodniczący Kapituły Nagrody „BohaterONY” im. Powstańców Warszawskich. Z kolei 30 lipca dzie-



ki Agnieszce miałem ten zaszczyt, że mogłem uczestniczyć w spotkaniu Powstańców Warszawskich z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Andrzejem Dudą i Prezydentem m.st. Warszawy z Rafałem Trzaskowskim. Wówczas doszło do uroczystego nadania odznaczeń państwowych przez Prezydenta RzeczA. Dudę. 1 sierpnia od wczesnych godzin byłem zajęty wolontariatem. Agnieszka udzielała wywiadów do różnych stacji telewizyjnych. Podczas jednego z wywiadów towarzyszyłem Jej, dzięki czemu mogłem opowiedzieć o współpracy z „BohaterONem” i całej pracy w wolontariacie. Następnie od 9.00 rano byłem na Placu Unii Lubelskiej, gdzie na historycznym słupie zawisł plakat, z które-

go można było pobrać przypinki ze znakiem Polski Walczącej. Na miejscu prowadziliśmy zbiórkę na pomoc Powstańcom Warszawskim. Oczywiście tam o godzinie 17.00 przy dźwiękach syren wspólnie z innymi wolontariuszami i pracownikami Fundacji SENSORIA uczciliśmy Godzinę „W”. Wieczorem tradycyjnie odbył się koncert „Warszawiacy śpiewają nie(zakazane) piosenki”. Pragnę dodać, że przez cały okres rocznicy Powstania tj. do 2 października w stolicy trwają uroczystości, spotkania z bohaterami i panele dyskusyjne.

Tegoroczna edycja „BohaterONU” w ramach rozbudowanej wersji internetowej zainicjowanej w ubiegłym roku projektu „Dumni z Powstańców” inauguruje działania związane z obchodami 80. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego (a to już za rok!). Dumni z Powstańców – Komitet Społeczny ds. Obchodów 80. Rocznicy Powstania Warszawskiego to 3-letni ogólnopolski projekt (2023-2025) związany z uroczystościami rocznicowymi.

– *Pragniemy budować i integrować społeczność dumną z naszej historii, maksymalnie przedłużając pamięć o bohaterach walk z 1944 roku. Naszym celem jest pokazanie, jak wiele osób nie tylko pamięta i podziwia Powstańców, ale także angażuje się w konkretne działania na rzecz upamiętnienia tej ważnej karty naszej historii. Dołączyć do nas może każdy, zarówno osoby prywatne, jak i instytucje, firmy, czy szkoły. Pokażmy, że pamiętamy!* – zachęca Agnieszka Łesiuk-Krajewska.

Celami Komitetu Społecznego są w szczególności upamiętnienie uczestników walk z 1944 roku oraz upowszechnianie wiedzy o Powstaniu Warszawskim i Akcji „Burza”. promocja oddolnie podejmowanych inicjatyw tematycznych, integracja środowiska skupionego wokół tego tematu oraz wyróżnienie osób szczególnie zasłużonych w kultywowaniu pamięci.

Komitet Społeczny będzie przyznawał specjalnie zaprojektowane na tę okoliczność odznaczenie Dumni z Powstańców. Kandydatów do odznaczenia mogą zgłaszać organizacje pozarządowe, instytucje publiczne, grupy nieformalne, firmy, związki wyznaniowe, osoby fizyczne, organy Komitetu. Kandydat może się również zgłosić samodzielnie. Służyć temu będzie specjalnie przygotowany formularz na stronie www.dumnizpowstancow.pl.

W celu promocji strony www.dumnizpowstancow.pl został przygotowany spot telewizyjny oraz materiały outdoor z udziałem Powstańców Warszawskich oraz aktorów-ambasadorów akcji. W spocie występują Powstańcy War-

sawscy: Zbigniew Daab „Kapiszon”, Danuta Dworakowska „Lena”, Zbigniew Grochowski, Janina Jankowska „Jasia”, Irena Krajewska „Lala”, Anna Kurek „Anka”, Jakub Tomasz Nowakowski „Tomek”, Halina Rogozińska „Mała”, Stanisław Humianek „Wilk”, Jan Antoni Witkowski „Jaś”, Stanisław Wołczaski „Kazimierz”, Hanna Zawistowska – Nowińska „Hanka Zerwicz” oraz ambasadorzy akcji: Olga Bołądź, Michał Czernecki, Katarzyna Dąbrowska, Anna Dereszowska, Karolina Gorczyca, Magdalena Górka, Małgorzata Kożuchowska, Paweł Małaszyński, Antoni Pawlicki, Magdalena Rózcicka, Agnieszka Więdłocha, Maciej Zakościelny. Portal www.dumnizpowstancow.pl od 1 września będzie też ważnym elementem działań edukacyjnych. Uczniowie szkół, które zgłoszą się do projektu „BohaterON w Twojej Szkole”, będą mieli możliwość zamieszczenia wpisu w oparciu o scenariusze zajęć. Dodatkowo organizatorzy przewidują wiele innowacji, które szczegółowo zaprezentują podczas briefingu 1 września. Jak co roku na nauczycieli czeka również seminarium organizowane w Warszawie. W internecie odbywa się również zbiórka funduszy na rzecz Powstańców Warszawskich. Znajduje się pod linkiem www.zrzutka.pl/bohateron i potrwa do 2 października, czyli symbolicznie do ostatniego dnia walk toczonej się w Warszawie 79 lat temu. Zbiórkę można wspierać nie tylko poprzez wpłaty pieniędzy i udostępnienia, ale również zakładając własne skarbonki na rzecz zrzutki, do czego organizator zaprasza zarówno osoby fizyczne, jak i organizacje non profit, instytucje i firmy.

Szanowni Państwo! Zwracam się z ogromną prośbą do wspierania Akcji „BohaterON-włącz historię!”. To piękna i wspaniała inicjatywa, dzięki której możemy pomóc żyjącym Powstańcom, których jest zaledwie ponad 500! Myślę, że historia związana z Powstaniem Warszawskim jest ponad podziałami politycznymi. Ta historia łączy nas wszystkich Polaków bez względu na płeć, zawód, wiek czy przynależność do jakiegokolwiek partii. łączy nas wolność – wolność do ukochanej Warszawy i przede wszystkim Polski.

Tomasz Szymaniak

BIBLIOGRAFIA:
<https://www.wprost.pl/tylko-unas/11330416/kolyska-czy-grob-narodowego-badaczka-o-powstaniu-warszawskim-kazda-decyzja-laczy-sie-z-mozliwoscia-poniesienia-kleski.html>
<https://www.rp.pl/wydarzenia/art1207801-spor-o-powstanie-warszawskie-najgoretszadebata-toczyla-sie-na-emigracji>
<https://bohateron.pl/o-nas/aktualnosci/dumni-z-powstancow-start-viii-edycji-kampanii-bohateron/>

Niepotrzebny pałac



Część 1 - Rodzina

W poszukiwaniu pozostałości po pałacu w Radziechowie trafiłam do pani **Józefy Siwakowskiej** – nauczycielki i miłośniczki historii swojej miejscowości. Okazało się, że nawiązała ona kontakt z potomkami rodziny Schwabachów - ostatnich właścicieli wspomnianego pałacu. W jej posiadaniu są liczne zdjęcia (część z nich ilustruje ten artykuł) oraz wydana w 2017 r. książka **Petera Widloka pt. „Erik-Ernst Schwabach (1891-1938)”** przedstawiająca bardzo szczegółowo życie i dokonania arcykierownika, wydawcy, autora i mecenasa ekspresjonizmu, a

jednocześnie ostatniego właściciela radziechowskiego pałacu. Jeden z rozdziałów tej publikacji poświęcony jest w całości życiu pałacowemu. Zaczniemy jednak od rodziny Schwabach, dla której był on, obok pałacu na Wilhelmsplatz 7 w Berlinie, rodzajem letniej rezydencji i miejscem spędzania czasu wolnego. Kim byli i dlaczego zniknęła ich posiadłość w Radziechowie? Możemy dowiedzieć się tego z ww. biografii, z której zaczerpnęłam wybrane informacje.

Peter Widlok w swojej książce pisze: „Każdy, kto zajmie się rodziną Schwabachów, dojdzie szybko do przekonania, że chodzi o rodzinę bankierów i artystów, która może być opisana jako przykład wstępu i upadku całej epoki. Chodzi o rodzinę żydowską, która w okresie rozkwitu i pod koniec XIX. wieku (za czasów Bismarcka) z Juliušem Leopoldem Schwabachem jako głową rodziny i potem - do lat 20. XX w. z jego synem Pauliem, doszła do bogactwa oraz wpływów politycznych i gospodarczych. W latach 20. dotknęły ich pierwsze duże straty z powodu inflacji. Następnie, przez narodowych socjalistów poddani byli nieludzkiej presji, co doprowadziło do izolacji w interesach, do utraty domu bankowego poprzez ustawę o aryjskości, a na końcu do wypędzenia oraz śmierci wielu członków rodziny w Holokauście”. **Julius** został współwłaścicielem domu bankowego w 1868 r. Doprowadził do jego

rozkwitu, będąc także konsulem generalnym Wielkiej Brytanii. Zmarł w wieku 66 lat i po nim objął stanowisko w banku w 1896 r. jego syn **Paul**. Jako ostatni z rodziny znajdował się w centrum polityki bankowej, przemysłowej i finansowej. Podobnie jak jego bracia: Ernst i Julius, zmienił wyznanie na protestanckie, a swojego syna Paula juniora ochrzcił w obrządku ewangelicko-luterańskim. W ten sposób stara żydowska rodzina stała się w kolejnym pokoleniu protestancką. Wtedy panowały w cesarstwie mocne siły antysemityczne. Od lat 30. po wejściu w życie „Norymberskich ustaw rasowych” Schwabachowie zostali złapani w „sieć asymilacji”. Stali się obywatelami drugiej kategorii.

Paul i Ernst utrzymywali siedzibę w Berlinie oraz folwarku na wsiach. Do **Ernsta** należał Radziechów (Märzdorf). Prowadził on spełnione życie dzięki dochodom z udziałów w banku S. Bleichröder. Jest opisywany jako anglofil, gracz, kolekcjoner sztuki, myśliciel, miłośnik koni, playboy, nieprzekładający znaczenia do życia rodzinnego i do uregulowanej pracy.

Te cechy przejął po nim jego syn **Erik-Ernst**, który urodził się 24 marca 1891 r. a zmarł w wieku 47 lat, daleko od ojczyzny. Dorastał w Berlinie u dziadków ze strony matki, która zmarła, gdy miał 15 lat. Ojciec odszedł 3 lata później i Erik-Ernst odziedziczył majątek w wysokości 25 milionów marek w złocie, mając niespełna 18 lat. Dziadkowie zostali jego rodzicami zastępczymi. Lata szkolne spędził w Berlinie, uczęszczał do Gimnazjum Francuskiego dla dzieci dyplomatów i ludzi interesu. Poślubił w wieku 21 lat Charlotte Schmidt - córkę dentysty. Na zaręczyny wydał dla niej 114 stron historii miłosnej „Tristan z Lannois”. W 1912 r. przeprowadził się z Lotte do pałacu w Radziechowie. Od śmierci jego ojca w 1900 r. pałac pozostawał w uśpieniu. Był on potem wspaniałym centrum życia młodej rodziny. Tu urodziły się dzieci: Ernst-Joachim, Brigitte i Dorian-Erik. Tu przeżyli najlepsze lata - do

wybuchu I wojny. Do niego tęsknił Erik-Ernst podczas służby w wojsku w latach 1915-1917. Jednakże priorytetem jego życia nie była rodzina, ale raczej praca. Sprawdzał się jako wydawca, krytyk literacki i autor: „Uczyłem się, czytałem i pisałem”. Co pisał? Jego autorstwa są „Die weißen Blätter” („Białe kartki”) - kurs o ekspresjonizmie, sztuki teatralne (np. „Zaczarowany teatr”), scenariusze, utwory prozatorskie i liryczne. Był także mecenasem sztuki. Dofinansowywał m.in. wydawnictwo Tempel, teatr w Lipsku. Z racji swoich zainteresowań miał kontakt z wieloma znanymi postaciami, które przyjmował także w pałacu w Radziechowie. Wśród nich byli: Carl i Gerhart Hauptmannowie, pisarz Heinrich Mann, Kurt i Elisabeth Wolf (fotograf berliński), reżyser Paul Wegener.

Część 2 - Pałac

W 1871 r. Richard Brüstlein - były podporucznik armii pruskiej zaczął budowę pałacu na fundamentach starego. Za jego czasów przeprowadzono renowację i przebudowano go na jedną z najbardziej wypielęgnowanych siedzib wiejskich Śląska oraz urządzono duże, przestrzenne założenia parkowe. Szkice budowlane dotyczące powiększenia i przebudowy przez architekta Oliviera Pavelta pokazują nowoczesny wtedy projekt neoklasykistycznej fasady wielokopułkowej posiadłości pośród bujnego, dolnośląskiego krajobrazu parkowego: ogrody, w oddali lasy liściaste i iglaste, duże pola ze zbożem, niedaleko pałacu mała wieś. Budowla miała 5 pięter, obrosniętą bluszczem wieżę z chorągiewką oraz charakterystyczny dla śląskich rezydencji szeroki wjazd. Z tyłu był staw z widokiem na cierniste krzewy, okalające ogromny teren, duży taras i kamienny mur dokoła. Można sobie łatwo wyobrazić towarzystwo siedzące przy popołudniowej kawie. Po Brüstleinie właścicielem został na krótko architekt berliński Adalbert Winckler, a po nim Julius Leopold, który zapłacił za niego w 1892 r. milion marek. **Ernst Schwabach** otrzymał pałac od ojca w 1894 r. jako

prezent urodzinowy. Z Radziechowa do głównej siedziby rodziny w Berlinie jest 280 km. Pociąg „Fliegende Schlesier” - do Bytomia pokonywał trasę Berlin - Wrocław w 3 godziny. Ernst okazał się z biegiem czasu hojnym mecenasem i protektorem parafii. Dzięki niemu wyremontowano wnętrze kościoła ewangelickiego, zakupiono piękny żyrandol i zasłony na ołtarz. Ernst - człowiek swoich czasów żył w dobrobycie, w zbytku, ze środków, na które nie zapracował sam, lecz trafiły do niego poprzez urodzenie się w jednej z najbardziej wpływowych rodzin. Nie tylko rozdawał prezenty jako nowy właściciel Radziechowa, ale i urządzał pałac. Budynek sprawiał wkrótce wrażenie światowego muzeum. Pieniądze nie grały roli przy jego urzędowaniu. Ernst przywoził przedmioty i dzieła sztuki ze swoich podróży po całym świecie. Wciąż w podróży: do Indii, Azji Przedniej, Afryki i Japonii szukał eksponatów do pałacu. Przywoził obrazy, popiersia, miedzioryty, a do sali rycerskiej japońskie uzbrojenie samurajów, indyjskie sztylety, broń białą, kolną i palną z XVII i XVIII w. Słynne stało się urządzenie pokoju bilardowego (stół do bilarda francuskiego), tzw. „Pokoju niebieskiego” (ciężki, duży stół, dwa tronowe krzesła, wszechobecne książki), salonu, pokoju muzycznego (styl barokowy, szereg tapicerowanych mebli do siedzenia, sekretarzyki, instrumenty afrykańskie), trzech pomieszczeń bibliotecznych, hallu i prywatnych komnat rodziny meblami i obiektami sztuki. Wymienić należy: chińskie lampy, gobeliny z Francji, meble, kandelabry i lustra w stylu Ludwika XIV, figury zwierząt z brązu, japońskie przedmioty z laki. Ernst drukował pocztówki z licznymi widokami pałacu. W parku pałacowym od przełomu wieków było oświetlenie elektryczne - sensacja w tym czasie. Do majątku wiodły w kierunku folwarku tory kolejki, po których poruszano się drezyną. Ernst miał jeszcze jeden pomysł: chciał wyłożyć podłogę w sali pałacowej setkami 5-markowych, srebrnych monet z wizerunkiem Cesarza. Odstąpił od niego, ale czy dobrowolnie? Jego namiętność do kolekcjonowania była legendarna. Ernst kopiował, gdzie się dało, angielski styl życia: od ubrania poprzez rasowe konie sprowadzone z Anglii, razem z kompletną drużyną stajenną: koniuszym, nauczycielem



E-E Schwabach 1931 r.



Wejście do pałacu



Hala sportowa



Buduar



Jedno z wnętrza pałacu



Pokój bilardowy



Pokój błękitny



Pokój muzyczny

jazdy konnej, odzież, cztero - i sześciokonnymi powozami. Gra w polo, poker, tenis i boks we własnej hali sportowej pasowały do podziwianego i kopiowanego, raczej arystokratycznego stylu życia. Do tego w majątku pracowała niezliczona ilość służby: m.in. ochmistrzyni, kamerdyner, osobisty lekarz, kasztelan, fryzjer, służący (do czyszczenia srebra, mebli), masażysta, kucharka, pomoc kuchenna, strażnicy, do których za Erika-Ernsta - od 1912 r. dołączyli: szofer, elektryk, woźnica, kowal, leśniczy. **Erik-Ernst** odziedziczył po ojcu skłonność do notorycznego zbierania ładnych i drogich rzeczy, przede wszystkim obrazów i książek. Powiększył posiadłość o nowocześniejszą Turnhalle - halę sportową, otwartą 22 czerwca 1913 r. Była w niej scena, pokój z bilardem, biblioteka, reflektor z kinematografem. Hala posiadała elektryczne oświetlenie i centralne ogrzewanie. Występowali w niej znani artyści z Berlina, odbywały się wielkie imprezy i uroczystości wiejskie. Kosztowała 200 tys. marek. W latach 1914-1916 w hali funkcjonował lazaret, który mógł pomieścić 70 osób. Chorymi żołnierzami opiekowały się pielęgniarki z Czerwonego Krzyża oraz lekarz z Chojnowa. Wybudował także ring bokserski, garaże samochodowe, a nawet salę operacyjną. Znacznie dofinansował budowę nowej szkoły. Do pałacu należało gospodarstwo rolne, ale z nim nie chciał mieć nic wspólnego. Zatrudniał zarządcę, dzięki któremu 360 ha gospodarstwo (z sadem, ogrodnictwem, pasieką, stawami rybnymi i browarem – oprócz uprawy pól, hodowli zwierząt, koni i drobiu) bardzo dobrze funkcjonowało. On sam

nie nauczył się gospodarstwa i nie rozwinął w sobie radości i upodobania do niego. Podczas wojny (1914-1918) o hodowlę kur i sprzedaż jaj troszczyła się jego żona Charlotte. W czasie wojny odczuwało się także na wsi niedostatek, pracowało mało służby. Stajnie były puste, co tydzień oddawano 50 sztuk bydła, nie było aut. Zapasy należącego do pałacu majątku ziemskiego nie były tak duże, jak przed wojną. W kwestii jedzenia nie zauważało się wojny: było wystarczająco dużo śmietany, jaj, warzyw, sera.

Po wojnie **Erik-Ernst** zajmował się nadal swoją działalnością literacką i wydawniczą. W życiu prywatnym doszło do pierwszego tragicznego zrzędzenia losu. Jego 12-letni syn Ernst-Joachim zachorował na białaczkę i zmarł na początku 1930 r. Nieszczęście i koniec nie zaczęły się od śmierci syna, pożegnanie ze szczęśliwym życiem nie zaczęło się od pierwszej wymuszonej ucieczki do Anglii i pobytu na uchodźstwie w Londynie w 1936 r. Nieszczęście zostało zapowiedziane w połowie lat 20. dużym wstrząsem, gdy rodzina została zagrożona gospodarczymi skutkami inflacji. Do tej pory brak pieniędzy był dla niego obcym słowem. Żona i dzieci obwiniały go o złą sytuację finansową rodziny. Był ekonomicznym dyletantem, nie był przedsiębiorcą. Pod koniec lat 20. postanowił sprzedać wyposażenie pałacu i bibliotekę, aby ratować, co się da. W marcu i listopadzie 1931 r. odbyły się w Berlinie aukcje, na których je wystawiono. Katalog pierwszej zawierał 818 pozycji. Rzeczy te zajęły 52 wozy meblowe. Na drugą aukcję wystawiono jedną z największych prywatnych kolekcji książek. Opuśczał pałac na Śląsku, będący długie

lata nie tylko wspaniałą posiadłością, ale i miejscem rozrywki dla gości z centrum literackiego z Berlina i Lipska, a dla Erika-Ernsta Schwabacha miejscem ucieczki w zacisze biblioteki. W Berlinie rodzina przeprowadziła się do mieszkania w Charlottenburgu. Erik-Ernst miał dochody tylko jako wolny pisarz i krytyk, ale otrzymał zakaz pisania. Jako pisarz z żydowskimi korzeniami nie mógł dostarczyć takiego zaświadczenia o aryjskości, jakie miała jego żona. Postanowili się rozstać. Charlotte z dziećmi została w Berlinie, gdzie przeżyła bombardowanie podczas wojny i po jej zakończeniu wyjechała do Anglii. Zmarła w 1951 r. Erik-Ernst wtedy już nie żył, zmarł w Londynie na gripę i problemy z sercem. Został pochowany na cmentarzu w Stahnsdorf obok Berlina, w rodzinnym grobowcu, przez syna Dorian-Erika, który po pogrzebie ojca opuścił Niemcy i zamieszkał w Anglii, gdzie mieszkała już jego zamężna siostra Brigitte. Miała syna i córkę. W 1941 r. Dorian został wysłany jako „wrogi cudzoziemiec” z 2 500 innych osób do obozu dla internowanych w Australii. Po wojnie powrócił do Anglii. Ożenił się i miał dwóch synów. Z upływem lat nazwisko Schwabach uległo zapomnieniu. Pamięć o nim przywrócił Peter Widlok w biografii Erika-Ernsta. Poświęcił na to 6 lat żmudnej pracy.

A co z pałacem w Radziechowie? Stał się on własnością państwa, ziemia przeszła w ręce śląskiego kolektywu rolniczego, rozdzielono ją między 42 osoby. W 1932 r. urządzono w pałacu obóz pracy, aby zapewnić regularność prac w majątku. 1 sierpnia 1933 r. naziści, po dojściu do władzy, przemianowali go na obóz w służbie na rzecz Rzeszy. Pracowali w nim młodzi ludzie



Joachim Schwabach



Widok z lotu ptaka



Personel ogrodnictwa w 1925 r.

z okolicznych wsi przy wyrębie lasu i melioracji terenu. W 1937 roku pałac został wysadzony, ponieważ „nie znaleziono dla niego żadnego zastosowania”. Do dnia dzisiejszego zachowały się jedynie zabudowania gospodarcze.

Dziękuję pani Józefie za przekazanie materiałów, które pozwoliły przybliżyć naszym czytelnikom historię życia właścicieli nieistniejącego pałacu. Zdjęcia pochodzą ze zbiorów rodzinnych ich potomków.

Wioleta Michalczyk



9. edycja Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota Osób z Niepełnosprawnością już za nami.

W tym wyjątkowym dniu (2 czerwca) został pobity rekord, bo aż 187 zawodników wzięło udział w mistrzostwach.

Przybyli do nas autokarami z takich miejscowości jak: Głogów, Bolesławiec, Chojnów, Świdnica, Świebodzice oraz oczywiście Złotoryja i po raz pierwszy Żmigród i Jelenia Góra. Uczestnicy już od wielu lat w podziękowaniu za mistrzostwa przywożą swoje rękodzieło, które z roku na rok jest piękniejsze i coraz to okazalsze.

Zaszczytną funkcję Patronatu Honorowego mistrzostw pełnił wójt gminy Złotoryja pan Jan Tymczyszyn.

Również dziękujemy naszemu współorganizatorowi, którym było Centrum Kultury i Biblioteka Gminy Złotoryja z panem dyrektorem Jarosławem Szapowałem na czele.

A fantastyczny klimat i dobrą zabawę podczas płukania złota zawdzięczamy Stowarzyszeniu Historyczno-Eksploracyjnemu Księstwa Legnickiego z panem prezesem Mariuszem Majchrakiem (jako głównym dowodzącym). Ogromne podziękowania kierujemy do głównego sędziego mistrzostw: Łukasza Pawlaczyka za przeprowadzenie płukania złota na najwyższym poziomie.

W tym roku także uczestnicy mistrzostw bardzo chętnie korzystali z bogatej oferty przygotowanej przez Fundację ANIMUS m.in. z fotobudki, warsztatów z łapaczy snów, młynopiekarni, wyścigu taczek, czerpania papieru czy strzelania z bezpiecznych kusz. Wszystko to cieszyło się ogromnym zainteresowaniem.

Oficjalne otwarcie zawodów z ramienia organizatorów nastąpiło o godzinie 10 i po raz trzeci w historii mistrzostw odbyło się w Skansenie Górniczo-Hutniczym w Leszczynie. Zawody były podzielone na dwie kategorie: Osoba z Niepełnosprawnością z Opiekunem oraz Osoba z Niepełnosprawnością bez Opiekuna.

Oto lista zwycięzców. Pierwsza kategoria – Osoba z Niepełnosprawnością z Opiekunem: I miejsce – Kędziarska Urszula, II miejsce – Czarnecka Roksana, III miejsce –Kontor Andrzej.

Druga kategoria – Osoba z Niepełnosprawnością bez Opiekuna: I miejsce – Pruchniewska Daria, II miejsce – Chojnacka Katarzyna, III miejsce – Medyńska Wioletta.

Każdy zawodnik - płukacz oprócz swojego wypłukanego złota, które mógł zabrać do domu dostał pamiątkowy medal z 9. edycji Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota Osób z Niepełnosprawnością.

Za zajęcie I, II i III miejsca każdy wygrany dostał złoty puchar oraz pamiątkowy dyplom i nagrody. A główną nagrodą w dwóch kategoriach był voucher na 1-dniowy pobyt w Art Hotelu we Wrocławiu od naszego długoletniego darczyńcy.

Również na uczestników czekał słodki poczęstunek z najlepszej Cukierni Ciacholandia ze Złotoryi oraz ciepły posiłek.

Mistrzostwa w tym roku dały nam wszystkim ogromną radość, bardzo się zintegrowaliśmy, a uczestnicy już zapowiadają, że będą z nami znów za rok – potwierdza Łucja Marchaj-Miller prezes Fundacji ANIMUS.

Cieszymy się, że tak dobrze czuliście się z nami ANIMUS-ami podczas organizowanych przez nas mistrzostw. Staramy się, aby były one zorganizowane na najwyższym poziomie, w atmosferze życzliwości i wzajemnej pomocy.

Dziękujemy za pomoc medyczną Jednostce Poszukiwawczo-Ratowniczej BARYT ze Stanisławowa z panem komendantem Janem Kuskiem na czele.

Dziękujemy naszym najlepszym ceniącym dobro DARCZYŃCOM: Starostwu Powiatowemu w Złotoryi, Firmie Mine Master, Firmie Bazalt, Firmie Solo ze Złotoryi produkująca najlepsze chrupki w Polsce, PSB Mrówce ze Złotoryi, Pałacowi Krotoszyce, Art Hotel Wrocław, Firmie POLENERGIA, Przedsiębiorstwu Rolnemu Łukaszków Sp. z o.o., Rejonowemu Przedsiębiorstwu Komunalnemu ze Złotoryi oraz Cukierni Ciacholandia.

I również oczywiście dziękujemy naszym oddanym i energicznym wolontariuszom ze Szkoły Podstawowej nr 3 ze Złotoryi, oraz Zosi Kościuk, Edycie Dobosz, Mikołajowi Doboszowi oraz Jakubowi Skrobiszowi.

Fundacja Animus



Rodzina Schwabachów w 1927 r.



Charlotte Schwabach i Elisabeth Wolf



Kolejka prowadząca do folwarku



Ernst-Erik Schwabach w wieku 22 lat

Od Zagrodna do Pątnowa

Rok 1760

Schlacht bei Liegnitz.

O bitwie pod Pątnowem Legnickim sły-
szał chyba każdy, kto choć trochę inte-
resuje się historią. Mało kto wie jednak,
że do bitwy tej mogłoby w ogóle nie
dojść, gdyby nie drobne z pozoru zda-
rzenie, które miało miejsce raptem kil-
ka dni wcześniej w pobliżu Zagrodna. A
było tak.

Kampania kolejnego roku wojny sied-
mioletniej od początku toczyła się
przede wszystkim w Saksonii. Powód był
tyleż błaży co prozaiczny: mocarstwa od
zawsze lubiły wojować na cudzym tery-
torium, a stanowiąca odrębne państwo
Saksonia - tak dla Prus jak i Austrii - była
właśnie terenem obcym, którego los był
im w gruncie rzeczy obojętny.

Działania zbrojne przebiegały dość ane-
micznie, co historycy - chyba zbyt pochopnie - tłumaczą tchórzostwem do-
wódców austriackich. Uczciwiej było
by jednak stwierdzić, że dowódcy ci po
prostu trzeźwo patrzyli na rzeczywistość
i dostrzegli, że ich żołnierze - choć lic-
niejsi - zdecydowanie ustępują żołnie-
rzom pruskim pod względem wartości
bojowej.

Rzeczywiście - pruska machina wojen-
na na polu bitewnym działała właściwie
perfekcyjnie i nie miała sobie równych.
Jednak poza nią już tak kolorowo nie
było. Podstawową, chciałoby się rzec:
przewlekłą bolączką pruskiej armii była
aprowizacja.

Sztabowcy austriaccy mieli tego świa-
domość, dlatego z pełną premedytacją

przeciągali wojnę w nadziei, że głód za-
łatwi to, czego nie zdołali załatwić dzia-
ła.

Rachuby okazały się słuszne: pod koniec
lipca królowi pruskiemu Fryderykowi II
zameldowano, że doszczętnie zrabo-
wana Saksonia nie jest już w stanie do-
starczyć nawet worka mąki, a posiadane
przez wojsko zapasy wyczerpią się w
ciągu kilkunastu dni.

Chcąc nie chcąc - pomimo pozornie do-
brej sytuacji wojskowej - król musiał za-
rzucić odwrót na Śląsk. Tylko tam bo-
wiem - konkretnie w twierdzy świdnic-
kiej - znajdowały się zapasy wystarczają-
ce do wyżywienia całej armii.

Odwrót z Saksonii rozpoczął się 23 lipca.
Król pruski, wbrew zwyczajom epo-
ki, nie tylko osobiście dowodził ar-
mią, ale często stawał na jej czele w
dostojnym znaczeniu. Uczynił tak
również 9 sierpnia 1760 roku, kie-
dy to z samego rana postanowił wy-
przedzić główną kolumnę marszo-
wą zwijającą dopiero biwaki pod To-
maszowem Bolesławieckim, by po-
prowadzić rekonasans w towarzy-
stwie raptem kilkuset żołnierzy.

Królewski oddział przemknął przez
Okmiany, Radziechów i bez proble-
mów dotarł do Modlikowic. Następnie
minął tamtejszy kościół, przekroczył
rzekę Skorę i wjechał na równinę po
wschodniej stronie wsi, mając na celu
rozpoznanie najdogodniejszej drogi w
kierunku Łuka-

szowa - tam bowiem miało się kierować
całe wojsko.

Nagle jednak Prusacy zostali ostrze-
lani przez podjazd austriacki, który poja-
wił się nie bardzo wiadomo skąd. Król
Fryderyk - wbrew prośbom towarzy-
szy i podszeptom zdrowego
rozsądku - zamiast cofnąć się
poza zasięg wrogich kul, oso-
biście objął dowodzenie wal-
ką. Austriacy jednak, swo-
im zwyczajem, unikali walnej
rozprawy, orbitując jednak
natrętnie wokół mniej mobil-
nych Prusaków i ostrzeliwu-
jąc ich.

Król nakazał więc podciągnąć
lekkie działa, które profilak-
tycznie towarzyszyły awan-
gardzie. Dopiero kilka wy-
strzałów z kartaczy odpędzi-
ło żołnierzy austriackich, któ-
rzy skierowali się w kierunku
Złotoryi.

Kronikarze nic nie wspominają
o stratach którejs z stron,
z czego można wnioskować,
że musiały być symbolicz-
ne. Z całą pewnością żadnego
uszczerbku w walce nie
odniósł pruski król; zapewne
dlatego, że nie został rozpo-
znany. A nie został, bo nosił
się zawsze nader skromnie
i przez postronnych obserwa-
torów brany był raczej za an-
onimowego oficera niskiej ran-
gi.

Czy zatem starcie pod Zagrod-
nem było tylko widowisko-
wym, ale nic nieznaczącym
epizodem?

Wręcz przeciwnie. Huk wy-
strzałów armatnich zaalarmo-
wał główne siły austriackie,
wskazując im od razu kie-
runek, w jakim zmierza ar-
mia pruska. W efekcie szybko
wzmocnili swe siły na przed-



Król Fryderyk II Wielki

Zur Erinnerung an den 150jährigen Gedenktag an
die Schlacht am Rehberg bei Panten, Kr. Liegnitz
1760 — 15. August — 1910



Pomnik pod Pątnowem upa-
mietniający 150 rocznicę bitwy



Plan bitwy pod Pątnowem

polu Złotoryi, blokując Fryderykowi
przejście w kierunku Świdnicy. To z ko-
lei zmusiło go do skierowania się na Le-
gnicę, która wcześniej w ogóle nie mia-
ła znajdować się na trasie przemar-
szu. Można więc powiedzieć, że pozor-
nie drobny epizod pod Zagrodnem uru-
chomił łańcuch zdarzeń, któ-
ry zaprowadził armię pruską
pod Pątnów.

Oczywiście król pruski z cięż-
kim sercem rezygnował z
przejścia ku Świdnicy, która
wraz ze swymi pełnymi ma-
gazydami jawiła mu się nie-
mal ziemią obiecana. W cią-
gu kolejnych kilku dni zarów-
no szpiedzy, jak i pruskie od-
działy zwiadowcze penetro-
wały intensywnie okolice
Złotoryi, szukając jakichkol-
wiek sposobów przedostania
się ku Świdnicy. Ostatecznie
żadnego sposobu znaleźć
nie zdołano, znaleziono wszakże
jeden wóz.

Tak, wóz. Jechał sobie spo-
kojnie bez żadnej eskorty
gdzieś koło Świerzawy, gdy
nagle wpadł w ręce jedno-
go z lustrujących okolice prus-
kich oddziałów zwiadow-
czych. Prusacy nie namyśla-
jąc się długo uprowadzili go i
doprowadzili do własnych li-
nii.

Wielkie było ich zdziwienie,
gdy zamiast zaopatrzenia ty-
powo wojskowego, odkry-
li na wozie prywatne бага-
że austriackiego generała La-
scha. Jeszcze bardziej zdziwili
się, gdy między kuframi z ele-
ganckimi ubraniami, a skrzyń-
kami przedniego węgierskie-
go wina dostrzegli...kobietę.

Wbrew pozorem kobiety w
wojsku nie są wynalazkiem
naszych czasów. W okresie
wojny siedmioletniej było ich
też całkiem sporo. Nawet w
słynącej z rygoru armii prus-
kiej wyznawano słuszną za-
sadę, że nikt nie zadba o żoł-
nierza tak dobrze, jak jego
własna żona. W efekcie ko-
biety w obozie wojskowym
były nie tylko tolerowane, ale
wręcz mile widziane.

Jednak kobieta odnaleziona
wśród bagażu generała La-
scha z pewnością nie była
jego żoną. Kim zatem była?

Oddajmy głos kronikarzowi z
epoki. Tylko oni potrafili na-
zywać rzeczy elegancko i cel-
nie zarazem:

"...była to młoda, śliczna Tyrolka, któ-
rej aparycja nie pozostawiała wątpliwo-
ści co do tego, jakie usługi oddaje gene-
rałowi".

Wiadomość o nietypowej zdobyczy
wprawiła króla Fryderyka w świetny hu-
mor. Tym lepszy, że wśród bagażu gene-
rała Lascha znaleziono też tajne doku-
menty o znaczeniu politycznym i woj-
skowym.

Nieprzewidywalny i skłonny do okru-
cieństwa pruski król tym razem zach-
ował się jak na króla przystało: odesłał
generałowi Laschowi nie tylko piękną
Tyrolkę, ale też cały wóz z niemal nie-

naruszonym ładunkiem. Piszę "niemal"
- bo Fryderyk zatrzymał sobie owe tajne
dokumenty, za co - w skreślonym wła-
snościami, a pełnym złośliwej galante-
rii liście - przeprosił generała.

Kilka dni później, pod Pątnowem, gene-
rał Lasch mógł przeżyć szalę zwycię-
stwa na korzyść Austrii. A jednak przez
cały czas trwania bitwy stał wraz ze swy-
mi żołnierzami biernie i nie kiwnął pal-
cem. Czy opisane wyżej wydarzenie
miało z tym jakiś związek?

Tego nie dowiemy się już nigdy.

Jakub Hermanowicz



Podziemni bohaterowie

Pół wieku temu, 31 grudnia 1973 r., za-
kończyła działalność kopalnia miedzi
"Lena". Od 1950 roku wiązało z nią swe
losy tysiące złotoryjan, wiele instytucji,
dzięki niej zmieniało się miasto. Czy ktoś
potrafi rozpoznać osoby na zamieszco-
nych obok dwóch archiwalnych foto-

grafiach, podać bliższe szczegóły oraz
daty? Mamy nadzieję, że nadal pozosta-
je w pamięci jej uczestników wycieczka
szkolna. Pośród kilku osób z załogi, jako
trzeci od lewej stoi Stanisław Pieprzyk,
ostatni dyrektor kopalni (1970-1973).

Andrzej Kowalski





Stadion miejski imienia...

W kręgu osób związanych z górnictwem, zrodził się pomysł upamiętnienia ostatniego dyrektora kopalni miedzi „Lena”. W przeszłości przynajmniej raz już taką próbę podjęto, ale w tamtym czasie w wyniku nieporozumienia odrzucono kandydaturę i w ten sposób Stanisław Pieprzyk nie został patronem ulicy. Dziś nie ma już ulic lub innych godnych miejsc, które mogłyby takie imię otrzymać, dlatego w Złotoryjskim Towarzystwie Tradycji Górniczych zrodził się pomysł nadania jego imienia stadionowi ZKS „Górnik”.

- Być może ostatni moment, żeby tę znaczącą dla wielu Złotoryjan postać uhonorować w sposób, który pozwoli trwale zachować ją w pamięci – Mówi Andrzej Kowalski Prezes Towarzystwa. Stanisław Pieprzyk jest ostatnim ogniwem historii śląskiej (złotoryjskiej) miedzi, której historia przez 700 lat kształtowała oblicze naszej małej ojczyzny.

Zdaję sobie sprawę, że wielu naszym czytelnikom to nazwisko niewiele lub zgoła nic nie mówi. Przynam, że mnie do pewnego momentu również, aczkolwiek trafiłem na nie, w wielu historycznych publikacjach.

Aby jednak dowiedzieć się czegoś więcej, poprosiłem o zorganizowanie spotkania z byłymi górnikami, znającymi osobiście Stanisława, jak wyłącznie o nim mówią. Zaproszenie przyjęli Tadeusz Paliszkiwicz, Marek Borys, Aleksander Borys i wspomniany już Andrzej Kowalski. Sądzę, że naszym czytelnikom tych osób przedstawiać nie trzeba.

A. K. - Kilkanaście lat temu były próby nadania jego imienia ulicy, ale z bliżej nieznanych powodów nie doszły do skutku. Szkoda, bo nic tak nie buduje lokalnego patriotyzmu, jak miejscowi zasługujący na pamięć. Dla Złotoryjan nazwanie ulicy imieniem Reymonta, czy Konopnickiej może niewiele znaczyć. Po konsultacjach w środowisku byłych górników, wszyscy byliśmy zgodni co do tej inicjatywy. Stąd pomysł stadionu i nie tylko dlatego, że tylko on został, ale również dlatego, że był to zawsze stadion klubu górniczego, Stanisław był również prezesem klubu, a przede wszystkim należy pamiętać, że kopalnia utrzymywała klub jak i stadion.

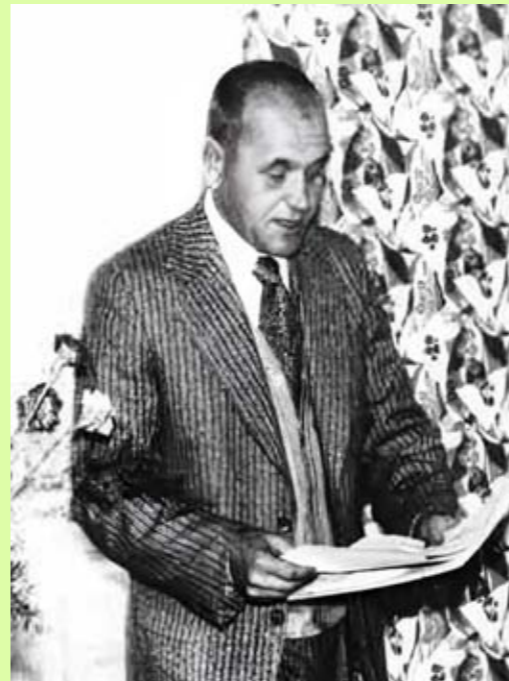
T. P. - Dziś może wydawać się to oczywistością. Miała taki obowiązek, to utrzymywała. Jednak skoro było to tak oczywiste, to dlaczego inni dyrektorzy tak chętnie nie włączali się w takie działania? Ówczesni gospodarze stadionu byli na etacie w „Lenie”. W okresie wakacji wyjeżdżali do Ustronia Morskiego, by pełnić podobną rolę w zakładowym ośrodku wypoczynkowym.

A. B. - Kiedy spaliła się sala „Społeczniaka” złotoryjscy akrobaci pozostali bez dachu nad głową i groziło im zamknięcie sekcji. Poszedłem do dyrektora Pieprzyka i zapytałem, czy może jakoś pomóc? Padła zaskakująca propozycja, aby akrobaci trenowali w stołówce zakładowej „Leny”. Stanisław się na to zgodził. Dwa razy

w tygodniu przyjeżdżaliśmy, rozkładaliśmy sprzęt i odbywaliśmy normalne treningi. Bez tej pomocy, nie udałoby się zdobyć mistrzostwa świata.

A. K. - Kiedy trener Biegaj przyjechał do Złotoryi, pierwsze kroki skierował nie do kogo innego, jak do Stanisława. Dzięki niemu uzyskał możliwość zamieszkania i gwarancję opieki nad akrobatami. Te silne związki także chcielibyśmy uczcić. Jeśli udałoby się przekonać Radę Miasta do naszego pomysłu, chcielibyśmy zorganizować uroczystość nadania imienia w dniach 22-26 września, tj. w rocznicę zawodów, w których nasza złota czwórka zdobyła po raz pierwszy mistrzostwo świata. Nie zapominajmy, że stało się to pod szyldem KS „Górnik” Złotoryja. Stanisław Pieprzyk był Prezesem Klubu w latach 1962 – 1965.

Stanisław Pieprzyk urodził się 10 listopada 1929 roku w Gdowie, opodal Krakowa. Był najstarszym z sześciorga dzieci miejscowego kowala. Po ukończeniu krakowskiego liceum im. Augusta Witkowskiego, podjął studia na wydziale mierniczo – geologicznym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie uzyskując tytuł inżyniera geologia. Przypadek sprawił, że trafił do Złotoryi. To jest do miejsca, którego nazwa nic lub prawie nic mu nie mówiła, a które stało się jego małą ojczyzną na niemal całą resztę życia. W kopalni zaczynał od stażysty, przeszedł przez wszystkie szczeble górniczej kariery, nie uchylając się nawet od takich wyzwań jak ratownictwo górnicze, w którym służył przez 5 lat. Już na początku kariery zawodowej, kiedy pracował w charakterze geologa, w dużym stopniu przyczynił się do wykonania dokumentacji geologicznej złoża miedzi w synklinie złotoryjskiej, bez której odbudowa i dalsza rozbudowa kopalni „Lena” byłyby niemożliwe. Aby dalszy jego własny rozwój był możliwy, wrócił na macierzystą uczelnię i w latach 1968 – 1972 studiował zaocznie na wydziale górniczym, uzyskując tytuł magistra inżyniera górnictwa. Dzięki dużej pracowitości i wrodzonej umiejętności kierowania zespołami ludzkimi, sukcesywnie awansował. Był doskonałym gospodarzem i wspierał organizatorem produkcji. Dzięki swojej wnikliwości znał procesy technologiczne



zakładu w najdrobniejszych szczegółach. Przez ostatnie 11 lat swojej bytności w Wilkowie, był dyrektorem Zakładów Górniczych „Lena” a od roku 1978 Zakładów Urządzeń Górniczych „Lena”, które powstały pod Jego kierownictwem, po decyzji o zakończeniu eksploatacji rudy miedzi.

Za tytułem „Dyrektor” można ukryć różne postaci. Zapewne niejednej osobie kojarzyć się on będzie z despotą, bezwzględnie dążącym do zamierzonego osobistego celu. Jednakże Stanisław Pieprzyk jako dyrektor, zapisał się w pamięci wielu osób bardziej jak ojciec, niż przełożony. Wynikało to z jego usposobienia. Głosił i wyznawał zasadę, że kopalnia jest jak matka, która troszczy się o załogę jak o swoje dzieci. Był niezwykle kompetentny, a jednocześnie skromny. Miał niepowtarzalny styl pracy, potrafił łączyć partnerstwo z wysokimi wymaganiami stawianymi podwładnym, a przede wszystkim sobie. Stworzył w pracy niepowtarzalny klimat. Pracownicy nawet z bardzo osobistymi problemami zwracali się do niego znajdując zawsze zrozumienie i szacunek.



A. B. - Stanisław to był człowiek, który nigdy nie odmówił poparcia żadnej społecznej inicjatywie, to z kolei powodowało, że aż się chciało społecznie pracować.

T. P. - W czasach świetności kopalni „Lena” miała własną ekipę budowlaną, która obsługiwała całe mia-

sto w tym szkoły i przedszkola. Kopalnia była mocno zaangażowana w budowę Szkoły Tysiąclecia – „Lena” uczestniczyła w jej budowie, a później utrzymywała. Inne zakłady tak chętnie nie dokładały się do finansowania takich inwestycji.

M. B. - Aż trudno uwierzyć, że w mieście tak bardzo ukształtowanym przez kopalnię, nie ma już niemal żadnych śladów związanych z górnictwem. Sądzę, że tym bardziej inicjatywa jest bardzo dobrym pomysłem.

T. P. - Stanisław nie pchał się na afisz, ale moim zdaniem w latach 1955 – 1980 była to najwybitniejsza postać w Złotoryi. Nie wiem, czy stadion jest wystarczającym uhonorowaniem.

Nie sposób wymienić wszystkich inicjatyw i zrealizowanych przedsięwzięć, których Stanisław Pieprzyk dokonał w ciągu wielu lat pracy i zamieszkiwania w Złotoryi. Ważnymi projektami były zainicjowane przez niego, rekultywacja stawu osadowego, zrekonstruowanie sztolni Aurelia, czy budowa dworca autobusowego. Jego pomysłem był stojący na cokole wózek kopalniany, służący wcześniej do transportu rudy w kopalni „Lena”, który wjeżdżającym do miasta od strony Legnicy przypomina o górniczym charakterze miasta.

Po zakończeniu w kopalni „Lena” eksploatacji złoża miedzi, pod Jego kierownictwem zlikwidowano kopalnię, dokonano reorganizacji zakładu i rozpoczęto wytwarzanie unikalnych narzędzi niezbędnych przy budowie i eksploatacji zakładów wydobywczych budowanych w nowym zagłębiu miedziowym. Uczynił wszystko, by przynajmniej dla części załogi uratować miejsca pracy. Spod Jego ręki wyszli fachowcy, tworzący trzon kadry

górników budujących nowe zagłębie miedziowe. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że to dzięki jego wiedzy i umiejętności jej przekazywania, Legnicko-Głogowski Okręg Miedziowy rozwinął się tak szybko.

Ewentualna decyzja o nadaniu imienia Stanisława Pieprzyka miejskiemu stadionowi, należy do Rady Miasta. Działająca przy Burmistrzu Rada Seniorów podjęła tę decyzję jednogłośnie. Poparcie dla inicjatywy wyraziły Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Złotoryjskie Towa-



rystwo Tradycji Górniczych i Polskie Bractwo Kopaczy Złota. Poza tym wiele osób prywatnych, w tym byli Prezesi KGHM i pracownicy ZG „Lena”.

opracował
Andrzej Wojciechowski



wadzonymi w archiwach, muzeach, a ostatnio coraz częściej na stronach internetowych tych instytucji. Mają one pomóc w pracach, szukamy bowiem materiałów, które uzupełnią luki w dotychczasowej wiedzy. Szczególnie znaczenie mają źródła kartograficzne, szczególnie te pochodzące sprzed kilkuset lat. To dzięki materiałom zgromadzonym w zbiorach Staatsbibliothek zu Berlin oraz Archiwum Państwowego w Katowicach mogliśmy trafnie zinterpretować odkryte w 2008 r. pozostałości huty miedzi, a także opisać historię Leszczyny w XVIII w.

Ale do rzeczy. Według przekazów źródłowych – informacji zawartych w dokumentach i publikacjach – wiedzieliśmy,

że huta i płuczkownia założone zostały w latach 30. XVIII w. za sprawą ówczesnej właścicielki Leszczyny, Marii Teresy von Hochberg (ryc. 1). Produkcja miedzi była niewielka. Od 1740 r. do 1741 r. uzyskano w niej ponad 2 tony miedzi. Mimo pożaru huty w 1741 r. działalność górniczo-hutnicza nie upadła, a sporządzający w 1742 r. raport o stanie górnictwa na omawianym terenie, dr Joh. Tob. Lippert z Głogowa, był zdania, że kopalnie koło Leszczyny powinny dostarczać rudy do produkcji ok. 2 000 kg miedzi rocznie. W 1742 r. w hucie pracował pisarz, hutnik, 12 robotników oraz trzech płuczkarzy. W 1751 r. w hucie wytopiono zaledwie 470 kg miedzi, a w 1754 r. tylko 125 kg. Podczas wojny siedmioletniej wojska austriackie spaliły budynki huty, a właściciel kopalń na pewien czas wstrzymał eksploatację złoża. Na wyposażeniu huty znajdował się m.in. krzywy piec szybowy. Problemem dla działania huty był brak odpowiedniej ilości wody, napędzającej urządzenie hutnicze i tłuczki.

Obiekt odkryty w czasie prac terenowych w 2008 r. (ryc. 2), jednak dopiero cztery lata później dzięki analizie źródeł kartograficznych – map Friedricha Christiana von Wrede (1747-1753) oraz Wilhelma

Ludwiga von Reglera (1764-1770) możliwa była właściwa interpretacja i opis odkrytego stanowiska. Na starszej mapie (ryc. 3) teren na południe od zabudowań Leszczyny, położony w widłach Prusickiego Potoku i bezimiennego cieku, opisany został jako „młyn rudy” (Ertz Mühl), na młodszej zaś jako „zniszczona huta i tłuczka/młyn rudy” (ruiniertes Schmelz und Pochwerk; ryc. 4). Doszło do tego w czasie wojny siedmioletniej, ale obiekt o znaczeniu strategicznym – miedź była niezwykle ważnym surowcem dla ówczesnych Prus – został oznaczony na mapie.

W czasie badań archeologicznych na terenie stanowiska oraz w jego sąsiedztwie odkryto nie tylko zabytki związane z funkcjonowaniem huty (ryc. 5), przeprowadzono również specjalistyczne analizy materiałów pochodzących z procesu hutniczego – żużli oraz kamienia miedziowego, stanowiącego półprodukt w prowadzonych tu procesach. Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli przeprowadzić w tym miejscu wykopaliska, które uzupełnią historię prac hutniczych prowadzonych w tej części Pogórza Kaczawskiego.

Ryc. 1. Maria Teresa von Hochberg (1795-1756), żona Ottona Gottloba Konrada von Hochberga, właściciela Leszczyny, Prusic, Grzymalina i Wilczyc, inicjatorka prac górniczych w Leszczynie

Ryc. 2. Lokalizacja huty oraz model 3D stanowiska. Objasnienia: 1- hałda żużla hutniczego; 2- konstrukcja kamienna (piec?); 3- wał stawu; 4- konstrukcje kamienne (strefa mieszkalna?); 5- przebieg Prusickiego Potoku, 6- ciek wpadający do Prusickiego Potoku od strony południowo zachodniej. Oprac. P. Rajski, A. Łuczak, T. Stolarczyk

Ryc. 3. Fragment mapy autorstwa Friedricha Christiana von Wrede z lat 1747-1753, prezentujący okolice Leszczyny i Prusic. Na czerwono oznaczono zabudowania huty miedzi (Ertz Mühl), na mapie znajdują się również inne obiekty związane z górnictwem i hutnictwem miedzi. Zbiory Staatsbibliothek zu Berlin, oprac. T. Stolarczyk

Ryc. 4. Fragment mapy Ludwiga Wilhelma von Reglera z lat 1764-1770 przedstawiającej rejon Leszczyny i Prusic. Na czerwono oznaczono zniszczoną hutę i tłuczkę/młyn rudy (ruiniertes Schmelz und Pochwerk). Zbiory Staatsbibliothek zu Berlin, oprac. T. Stolarczyk

Ryc. 5. Zabytki archeologiczne odkryte na terenie huty w latach 2008-2012: 1-4- fragmenty ceramiki i kafla, 5- osełka, 6- kopaczka, 7- cęgi kowalskie, 8- oskard (?). Fot. i oprac. T. Stolarczyk

Literatura
Fechner H., *Geschichte schlesischen*

go Potoku od strony południowo zachodniej. Oprac. P. Rajski, A. Łuczak, T. Stolarczyk

Ryc. 3. Fragment mapy autorstwa Friedricha Christiana von Wrede z lat 1747-1753, prezentujący okolice Leszczyny i Prusic. Na czerwono oznaczono zabudowania huty miedzi (Ertz Mühl), na mapie znajdują się również inne obiekty związane z górnictwem i hutnictwem miedzi. Zbiory Staatsbibliothek zu Berlin, oprac. T. Stolarczyk

Ryc. 4. Fragment mapy Ludwiga Wilhelma von Reglera z lat 1764-1770 przedstawiającej rejon



Leszczyny i Prusic. Na czerwono oznaczono zniszczoną hutę i tłuczkę/młyn rudy (ruiniertes Schmelz und Pochwerk). Zbiory Staatsbibliothek zu Berlin, oprac. T. Stolarczyk

Ryc. 5. Zabytki archeologiczne odkryte na terenie huty w latach 2008-2012: 1-4- fragmenty ceramiki i kafla, 5- osełka, 6- kopaczka, 7- cęgi kowalskie, 8- oskard (?). Fot. i oprac. T. Stolarczyk

Literatura

Fechner H., *Geschichte schlesischen*

Co było, a nie jest...

...nie pisze się ponoć w rejestr. Ale dlaczego nie zadumać się chwilę nad tym, czego już nie ma? Zwłaszcza, gdy możemy przy okazji rozwiązać tajemnicę sprzed lat?

Tego już w naszym mieście nie uświadczymy.

Były miejsca, zakątki, małe i duże budowle, które bezpowrotnie zniknęły ze złotoryjskiego krajobrazu. Niektóre z nich były niewątpliwą ozdobą i dzisiaj stanowiłyby znakomite uzupełnienie architektury śródmieścia.

Tak, jak kamienica, której fragment uwidocznił się obok.

Gdzie stała? Jakie było jej przeznaczenie? Kiedy została wzniesiona i kiedy zniknęła? Dlaczego już jej nie ma?

Kto udzieli najbardziej wyczerpującej odpowiedzi, może liczyć na nagrodę.

Chciałbym rozpocząć tą zagadką cykl, w którym odkrywać będziemy kolejne tajemnice naszego grodu. Zapraszam do zabawy.

Robert Pawłowski

Berg- und Huettenwesens in der Zeit Friedrich der Grossen, Friedrich Wilhelm's II. und Friedrich Wilhelm's III. 1741-1806, Berlin 1903.

Piątek E., Piątek Z., *Studium historyczne górnictwa i metalurgii na obszarze Parku Krajobrazowego „Chełmy”, Wrocław 1995, maszynopis w zbiorach Działu Archeologii Muzeum Miedzi w Legnicy.*

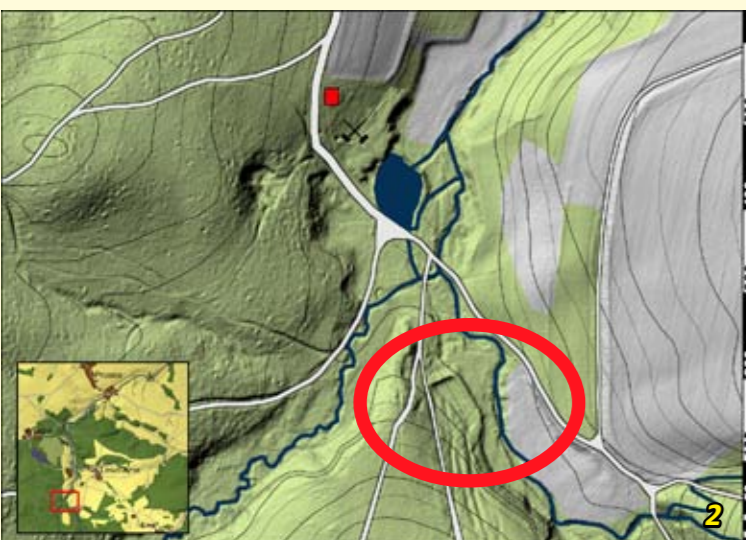
Tomasz Stolarczyk



Dawne huty czyli, po co archeologom stare mapy?

Z jakich źródeł korzystają archeolodzy w czasie swoich badań? Kwestie te świetnie zobrazują prace prowadzone od wielu lat w rejonie Leszczyny, Wilkowa (pow. złotoryjski) oraz Kondratowa i Stanisławowa (pow. jaworski) w związku z badaniami górnictwa i hutnictwa miedzi, a także wykorzystaniem innych surowców występujących w tej części Pogórza Kaczawskiego.

Prace terenowe poprzedzone są odpowiednimi kwerendami źródłowymi, pro-



TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ



Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej liczy sobie 36 lat.

A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej,
59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: tmzz@tmzz-żłotoryja.pl, tel.: 571254858

TMZZ zdobył tytuł
Laureata w VI edycji
konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w latach 2020 - 2022:

- ✓ XXIV Rajd Jadwiżański w 2022 r.,
- ✓ Dwa filmy nakręcone w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa w 2020 i 2021 r.
- ✓ XIV tom Biblioteczki Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej pt. „Polskie Towarzystwo
- ✓ Turystyczno-Krajoznawcze w Żłotoryi”
- ✓ Konkurs plastyczny „Moje życie w Polsce”
- ✓ Odbudowa Obelisku Ludzkiego Przemijania

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ

* ECHO ŻŁOTORYI

* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ

* ŻŁOTORYJSKI KLUCZ FOTOGRAFICZNY

* KOLEJ NIEŚNOWNY

* KUCHNIA NOLKOWA

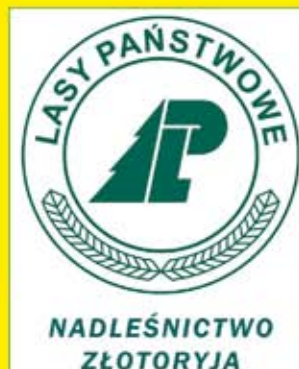
* KARTY I SZLAKI SW. JADWIGI CIEŻA SW. JADWIGA

ECHO ŻŁOTORYI

GALERIA SPONSORÓW



BAZALT®



Lena

Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT

konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 768783 480, fax +48 76 8783 212



VITBIS
szklane bombki choinkowe



grysy bazaltowe



- * płukanki
- * kolorowe
- * posypki
- * mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Żłota 1, 59-500 Żłotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 073

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta),
Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta),
Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak,
Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak,
Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Iwona Pawłowska - Żłotoryjski Rynek.

ECHO ŻŁOTORYI



Echo Żłotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

